Wytężonej i owocnej pracy w Nowym Roku!

Numer powiększony—12 stron

Cena 7 Zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III — Łódź, 6 stycznia 1946 r. — Nr. 1 (29)

JAN ALEKSANDER KRÓL

„Oda do młodości"

Kształcącej się w szkołach średnich młodzieży wiejskiej znana jest Mickiewiczowska „Oda do młodości". Ale również — nie rzadko — zna już ją młodzież ze szkoły powszechnej, z świetlic i Kół, jeśli nawet nie w pełnym tekście to przynajmniej z fragmentów, z tych o najsilniej brzmiącym haśle: **„młodości ty nad poziomy wylatuj — w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele! — dalej bryło z posad świata! Nowemi cię pchniemy tory"...**

Mickiewicz nie był **pedagogiem** w takim znaczeniu, jak był nim np. Pestalozzi albo Herbart. Jego „Oda" wyraża nie życzenia ychowawcy ale dążenia samej młodzieży. 120 lat temu była ona wybuchem buntu oświeconej młodzieży szlacheckiej przeciw systemowi feudalnemu. Majątek spoczywający nadal bez udziału młodych w ręku rodzicieli, oraz zmniejszony niewolą krąg urzędów i godności publicznych z jednej strony — a z drugiej, z 3-majowego dekretu pochodząca unowocześniona edukacja narodowa postawiły młodzież w tragicznym położeniu: **mając wiedzę była bez pola do działania!** A przecież ta młodzież w dzieciństwie oglądała orły napoleońskie, wzrosła w dreszczach i echach rewolucji francuskiej, gdzie **nowi** ludzie z **niższych** stanów sięgnęli po władzę, gdzie młodzież dowodziła w wojnach, a ustanawiała nowy ład w państwie, gdzie możliwości awansu społecznego i wielkiej do odegrania roli zdawały się leżeć na ulicy.

Ten młodzieńczy wiersz wielkiego poety nie tylko jest znamiennym dokumentem dla historyka, w nie mniejszym stopniu stanowi klasyczny wykres „gorączki" młodości dla psychologa i bardzo autorytatywny argument w ręku współczesnego postępowego pedagoga.

Psycholog z okazji tej „Ody" mógłby dać popularny wykład o cechach psychicznych młodości: skłonność do wzniosłości, zapalność, popęd do gromadzkości, energia najbujniej prąca do wyrazu, naiwność i pewność siebie, stąd skłonność do dużych wysiłków, gotowość do heroizmu, żądza przygód, zmian i nowości.

[illegible] lei ilustrowałby tym wierszem [illegible] myśli wychowawczej. Wyliczył[illegible] mniej trzy tezy. 1) Jeżeli war[illegible] narodu mierzymy bogactwem [illegible]nięć przeto protestuje przeciw [illegible] ma za zadanie **przysioso**[illegible] do **niezmiennego** środowiska [illegible] sprzeciwia się to bowiem roz[illegible], a równocześnie nie chroni [illegible]iem tej, jaka już została wy[illegible]

[illegible]racja przez upowszechnienie wie[illegible]zględu na jej doniosłe kulturalnie treś[illegible], rozszerzyła w ten sposób dostęp do ważnego udziału w życiu społecznym nie tylko niższym warstwom, ale również młodemu pokoleniu każdej klasy. Dlatego dziś nie można sobie wyobrazić społeczeństwa bez młodzieży!

3) W szczególności przed młodzieżą z warstw najbardziej dotąd społecznie upośledzonych staje obecnie zadanie otwarcia zamkniętych szczelnie w przeszłości kultur ludowych i robotniczo-małomiasteczkowych. Kultury te atakowane z zewnątrz przez postęp cywilizacji nie tylko własnego narodu, ale Europy i świata, przeciwstawiają mu systemy z innych — wcześniejszych historycznie epok.

I dlatego przy tej postawie konserwatywnej grozi im ruina jak w nierównej wojnie, a nie rozwój, który idzie w parze z wyrównaniem współczesnym wymogom i z twórczym ich prześcignięciem.

W LATACH MIĘDZYWOJENNYCH...

W latach Polski międzywojennej życie społeczne wsi kształtowało się już w dwu nurtach: **staro-chłopskim** i **młodzieżowym.**

Powtórzyły się w naszej warstwie pewne podobieństwa do warunków, w jakich kiedyś powstała „Oda do młodości". Miał przecież miejsce w pierwszych dniach niepodległości zmarnowany wstrząs społeczny: Lubelski Rząd Ludowy! Nadzieja na reformę rolną, o którą zajadle walczyli chłopi do 24 r. Była więc: podniecająca tradycja i legitymacja narodowa, była w osobie premiera — Witosa zbudzona ambicja klasowa. Był już i duży postęp w szkolnictwie powszechnym, ale równocześnie coraz silniejszemu i sprawniejszemu stłumieniu poddany został emancypacyjny ruch warstwy chłopskiej. Odsłoniła się bezradność starego pokolenia! Nędza, ciemnota, 8 milionów ukrytych bezrobotnych. Tragedia młodzieży. Jej postępowe próby — i przeciw temu patriarchat staro-chłopski. Ojciec-właściciel „gruntu", ojciec-„mistrz" w sztuce rolniczej (o 20 lat dłużej orał!) Jak dojść do porozumienia z tym autorytetem gromadzkim? Jak rozszerzyć pole działania, jak wzmóc ważność roli społecznej młodego pokolenia?

Czy powstała w tak napiętej sytuacji chłopska „Oda do młodości"? Czy podjął ktoś próbę wyrażenia dążeń młodzieży wiejskiej tych lat, tego pokolenia?

Można tu mówić o trzech autorach:

O Niećce, Solarzu i Miłkowskim.

Najstarszym kierownikiem ruchu młodzieżowego i jego ideologiem był niewątpliwie Józef Niećko. W tym układzie Solarz szkolił dla ruchu **przodowników,** a Miłkowski dał **gospodarczy** program w ramach wcześniej już zarysowanej przez Niećke koncepcji ludowości.

CHŁOPSKI RUSSO

Józef Niećko należy do tego typu przodowników, u których działalność społeczna wybucha — w ich własnym mniemaniu — pod wpływem **objawienia.**

Byłby to zatem ten sam ciąg życiorysów, jaki za wzór podaje kościół w świętych, lud w samozwańczych „prorokach" i stygmatykach, a hordy w opatrznościowych wodzach.

Niećko — jak sam o sobie pisze — regularnej szkoły ma za sobą trzy zimy. Do 20-go roku rozbudzenia intelektualnego i społecznego nie odczuwał. Pracował w lesie, jako tracz. „Iskrą piorunową" przeszył go dopiero nastrój w lesie nad stawem, gdzie wypoczywał ranny po pewnej bijatyce weselnej.

„Nieprzeliczone mnóstwo wodnego ptactwa głosiło swą radość i zadowolenie ze słońca dźwigającego się ku górze. Staw zaś drżał, jakby kipiał tymi głosami... wówczas zacząłem odczuwać słońce i piękno przyrody — **i w przyrodzie zaczynałem poszukiwania samego siebie".**

W tym przeżyciu jeszcze po latach widział **„bodźce,** które spowodowały pragnienie przemian w życiu młodzieży". Siebie bowiem uważa za jednostkę, poprzez którą „ujawnia się nurt pokoleniowy".

Ów przypadek spowodował, że zaczął „czytać łapczywie **Zorzę"**, potem wszedł w ruch Drużynowy, a wreszcie znajdujemy go na stanowisku kierownika Związku Młodzieży Wiejskiej i jej głównego ideologa.

Czy treść przeżycia z owego wydarzenia miałaby być typową dla pokolenia Niećki, albo dla młodszej generacji? (Niećko ma dziś chyba conajmniej 50 lat!)

Otóż trudno nie zauważyć, że Niećce bliższą była praca w lesie, niż w polu. Dlatego mówiąc o kulturze ludowej, zawsze uzupełnia „ludu leśno-rolnego". Niećko cofa tradycję chłopską do okresu myśliwsko-leśnego. Uderzające, że jego przeżycie przyrody jest akurat typowo nie chłopskie, jest **estetyczno-pańskie** lub **„mistyczno"-barbarzyńskie,** w każdym bądź razie wolne od tego układu z ziemią i pracą, w jakim obraca się chłop-rolnik.

Ten związek z przyrodą, charakterystyczny dla „luzaka" chłopskiego, cygana i wysferzeńca spokrewnia go bardzo z człowiekiem, który przeszło sto lat przed nim pierwszy rzucił hasło **„powrotu do natury"** i miał nawet nie bardzo inny życiorys. Nazywał się Jan Jakób Rousseau. Dał on początek przez cały 19-ty w. snującemu się wątkowi sentymentalnej tęskno ty mieszczuchów „za łonem natury", do którego przytulają się podczas wycieczek.

I Niećko i Rousseau żyli w sensie odpowiedzialności społecznej do 20-go roku życia **beztrosko.** Obaj podobnie **zmysłowo** odczuwali przyrodę, tworząc mit „jej ducha". Uczuciowość, poetycka marzycielskość unosi się nad nimi. Dla Rousseau'a — wiadomo — przyroda była ucieczką przed odpychającą powszedniością życia. Zbliżenie do niej miało coś z gestu **wyminięcia trudności i obowiązków** życia. Ale był też to wykolejeniec.

SŁOWIAŃSZCZYZNA

Przypomnijmy sobie, do czego wzywał Mickiewicz:

„Dalej bryło z posad świata,
Nowemi cię pchniemy tory".

Niećko wskazał młodzieży wiejskiej — **przyrodę.** Na czym tu miała polegać nowość? Niećko pisze: „Mam na myśli wieczną tęsknotę ducha człowieczego do harmonii i rytmu życia z duchem praw przyrody — innymi słowy, tak zwany **„mistycyzm".**

Ale w zgodzie z prawami przyrody jest również cała nasza ludzka olbrzymia wiedza przyrodnicza. Tylko, że dzieje tej wiedzy pokazują, iż praw natury jest grubo więcej, niż przeczuwał człowiek pierwotny, a i dziś jeszcze przeciętny obywatel. Człowiek pierwotny był ślepą igraszką tych praw i sam stanowił w ogniwie sił przyrody jedną z mniej poważnych pozycji, stanowczo mniejszą niż burza, o której Niećko wspomina, że „żywiołowo zaczął się w niej lubować".

Niećko nie chce panować nad przyrodą poza człowiekiem i w nim samym. Upaja go poddawczy wobec niej stosunek. Upaja jej niepojętość. Tej niepojętości nie wolno naruszyć!

Dlatego przez mistycyzm rozumie Niećko „pęd wewnętrzny do uczuwania się za jedno z duchem przyrody". Uważa, że w swoich dziejach „chłop czuł się raczej jednym z ogniw długiego łańcucha przejawów przyrody". O jakąż mu zatem idzie przyrodę? O leśno-polną! O tę, która się zamyka w pojęciach: klimatu, flory, fauny i pogody. Jakiego trzeba przygotowania, aby móc się „z nią uczuwać za jedno"? Według Niećki stanowczo mniej, niż ma współczesny chłop. Należałoby się tego balastu pozbyć i cofnąć do tej rajskiej odpowiedniości, jaką miał... Słowianin.

„Nawrót do ziemi — do przyrody i jej praw — do świętości chleba bezkrwawego — do tego zdolna może być tylko Słowiańszczyzna".

Młodzież wiejska winna więc wleźć spowrotem w „korzenie" dziejów swej warstwy. Niećko głosi odwrót w **przeszłość** legendarną, jako zadanie pokolenia. Rzeczywiście, coraz mistyczniej brzmi jego wieszczenie.

„Przyjść muszą nowe ludy, nowi Ariowie z nowym słowem i na tym cmentarzysku rozpocząć nowe dzieło tworzenia", a polegać ono będzie „na żywym i bezpośrednim stosunku powszechności wiejskiej do ziemi i słońca, na poczuciu wewnętrznej harmonii tworzenia łącznie z ziemią i słońcem".

NIEBEZPIECZNY ESTETYZM

Trudno wreszcie nie zapytać — czyjże to właściwie jest program? Więc po pierwsze — głosicielem jego jest samouk-dyletant, który wytrzasa własne koncepcje z zakresu filozofii historii jak z rękawa. W jednym referacie przesuwa przed oszołomionymi słuchaczami ducha dziejów całej ludzkości. Koniec końców pozostaje estetyczne oczarowanie.

Po drugie — ten ideolog potrafi na przestrzeni dwóch stron załatwić się ze wszystkim — z **kapitalizmem:** to intelekt i materializm, z chrześcijaństwem — to cmentarzysko, z humanitaryzmem: — to wykwit kulturalnego intelektu, z demokracją: — to aparat do samo-

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Robotnicy

**Wyżej nas podsadź ugiętym grzbietem,
Atlasie, co dźwigasz naszą ojczystą ziemię.
Fale Bałtyku u pięty ci drzemią,
ale nie drzemią nasze pięty.**

**Wali z rumorem tłum w pochodzie szarym,
„Nasi wracają!" — o pola weselne! —
Dziś każda bruzda wstęgą sztandaru
i bliżej do Niej: do pługów i kielni.**

**Głośniej nad hymny ze śląskiej huty
w czerwone serce dzień nam pieje.
Idziemy! Idziemy! Zbudzone buty
bębnią nam marszu trocheje.**

**Nim dłoń się z dłonią bohatera złączy,
usłysz nas, twoich z daleka tragarzy,
święta ojczyzno, cokolwiek się zdarzy,
olejem nas namaść, co się z czoła sączy.**

„Oda do młodosci"

(Dokończenie ze str. 1-ej)

biczowania się mas, z komunizmem: — to nowy strychulec czucia człowieczego.

Czyjeż to mogą być: taka lekkość i wdzięk? Napewno nie filozofa, uczonego czy trzeźwego polityka. Tak mówi poeta i mistyk, to jest człowiek poruszony marzeniem i nawiedzeniem, ale nie wiedzą.

I kiedy z tego stanowiska ogarniemy „Odę do młodości" Niećki, wówczas i mistycyzm jego stanie się dla nas jaśniejszy.

Niećko jest urzeczony swoją sprzed lat, z nad stawu — ekstazą. W ideologicznych szkicach pisanych impresyjnie, jak pamiętnik wrażeń z seansu z nieuchwytnym, maniakalnie wraca do obrazu jednej sceny.

— Jest tu słońce i jakieś przejmujące spojenie zbiorowe z nim i ziemią. Temu światu brak struktury, szczegółów i życia codziennego. Jest tylko odświętny obrzęd — jakiś pogański, pradawny, pierwotny. Niećko jak kapłan chciałby tylko na te obrzędy wychodzić i popadać w ekstazę, jak nałogowiec.

W rezultacie więc odwołuje się do „starej słowiańszczyzny — dlatego, że „wykształtowała sobie dla tych celów różnorodne formy... W naszym ruchu młodzieży wiejskiej przejawia się to wszystko w Świętach Wiosny — świętach żniwnych podniosłych, obejmujących młodych i starych z całej wsi".

No tak, to jest program, ale program **zabawy**, zabawy **estetycznej**, może nawet **mszy mistycznej**, ale nic ponadto.

Znów przypomina się Russo. W ogólnej koncepcji russowski „powrót do natury" był wariactwem, które też bez szkodliwych skutków ugrzęzło tylko w marzeniach mieszczaństwa. Ale Russo nie miał do dyspozycji stutysięcznego Związku Młodzieży. Skutki takiego programu w tej sytuacji bez porównania muszą być inne — groźniejsze!

A TU RZECZYWISTOŚĆ SKRZECZY

Dla obrzędów mistycznych Cierniak znalazł miejsce w teatrze ludowym. Tymczasem Niećko wyprowadził je ze sceny w rzeczywistość i uczynił treścią życia związkowego młodzieży wiejskiej. A to jest grubo co innego!

Nagrywanie przez lata zbiorowych scen sielankowych na zjazdach, zebraniach i uroczystościach może dawało młodzieży mistyczne „uczucie się za jedno z przyrodą" (ze słońcem i ziemią!), ale nie było posuwaniem życia wsi naprzód, nie było nawet posuwaniem życia młodzieży, przeciwnie, było kompensowaniem jego realnej nieobecności. Niećko w ten sposób uprowadził młodzież od życia, oszołomił ją tragicznym w skutkach marzeniem.

Bo przecież życie wsi mówiło i mówi o potrzebie dążenia w kierunku wprost przeciwnym.

Jakaż była ta rzeczywistość? 13% chłopów powyżej 10 ha, z kaflowym piecem, podłogą, meblem miejskim, własnym siewnikiem, żniwiarką, kieratem, ale już bez elektryczności, radia, pism, z jednym dzieckiem co najwyżej w szkołach i całą rodziną w pracy, przy technice rolnej żal się Boże.

,3% do 1 ha, 42% do 3 ha, 2 miliony bezrolnych i robotników folwarcznych, 5 milionów gruźlików, 10 tysięcy na 20 milionów chłopów z średnim wykształceniem, bez dróg, szkół, instytucji użyteczności publicznej, bez sieci spółdzielni, domów zdrowia, żłobków, dziecińców, bez przemysłu, traktorów i technicznych udogodnień.

A Niećko przed oczy młodzieży rzuca w te lata wizję mistycznego połączenia się z przyrodą!?

PRECZ Z CYWILIZACJĄ!

„W każdym bądź razie — mówi Niećko — myśmy powinni chcieć tego, jeżeli nie chcemy legnąć pod gruzami **bezdusznej i zimnej technokracji, jako krańcowego rezultatu kultury zachodu**".

O Boże, a toż sie do tego Zachodu napewno dziś modli. I gdzie tu mamy końcowy rezultat kultury Zachodu? Czy na to wygląda Ameryka i Anglia? Tak mogą mówić mistycy, ale tragedią jest, kiedy za nimi powtarzają to setki tysięcy jeszcze naiwniejszej, a pełnej entuzjazmu i gotowej do poświęceń młodzieży.

Gdzie nas to na wsi pożera technokracja? Pięć wsi na cała Polskę, takich jak Lisków, jak Albigowa, nie liznęły nawet 5% technicznych cudów, i w takich przedcywilizacyjnych warunkach, jak od diabła czyni się egzorcyzmy wobec postępu technicznego?

I pośród takiej doli wsi polskiej głosi się na serio: „Tempo życia — wynalazki i wszelkie cuda techniki — to już tylko przedśmiertne, intensywne wyżywanie się — właściwe wszelkim chorym organizmom".

Któż to mówi? Chłop o przysłowiowym „zdrowym rozsądku"? Czy też?... Nie, ten mistycyzm nie przynosi zaszczytu ani warstwie chłopskiej, ani młodemu pokoleniu chłopów, które w swoich tysięcznych życiorysach złożyło świadectwo głodu i psiego zaiste skomlenia za wiedzą, za realną wiedzą, która uzdrawia chorego, bogaci biednego, daje wypoczynek przeciążonej pracą, o oberwanych trzewiach, — jak to było z moją babką — starowinie.

SENS RÓŻNICY

Na przyrodzie i jej prawach bardziej niż kiedykolwiek chcielibyśmy dziś skupić uwagę młodzieży chłopskiej. Ale bez mistycznych cudów, które zdemaskuje każdy inteligentny uczeń z czwartej gimnazjalnej.

Niećko pisał: „W każdym bądź razie wszyscy będziemy musieli się z tym zgodzić, że słowiańszczyznę wykształtowała przyroda". Otóż nasz uczeń z czwartej klasy gotów stanowczo zaprzeczyć. Gotów w głos powiedzieć, że właśnie słowiańskość słowiańszczyzny polegała na rolniczym ukształtowaniu przyrody! Im głębszy tu był twórczy trud naszych przodków, tym bardziej możemy być dumni z naszego pochodzenia. A możemy. Bo na te przedhistoryczne czasy nasi przodkowie robili wielką historię cywilizacji. Potrafili budować kolosalne osady na palach, z domami, w których były dębowe podłogi, jakich dziś nie spotka się jeszcze w 70% chat polskiej wsi. Wymyślili, czy umieli przejąć i wychodować już pszenicę, jęczmień, proso, żyto, mak. Używali żaren. Obłaskawiali konie, krowy, kozy, owce, świnie, psa, używali motyki, szydła, młotów. Czy to była przyroda? Z nieba to wszystko nie spadło, ani też nie było gotowe. Stworzyła to wynalazczość człowieka jeszcze przed tysiącleciami. A czy od legendarnych prawie czasów daleko posunęło się nasze życie na wsi? Wypada nam raczej słowiańszczyznę podziwiać za **cywilizację**, a nad naszą historią ręce łamać, że ugrzęzła **w przyrodzie**, to znaczy w nieporadności i zdławieniu postępu.

Dumni jesteśmy niemniej niż dawna szlachta, z „ludowości", której starożytność jest naszym godnym politowania złudzeniem.

Korale naszych dziewcząt — malowanka Tetmajera czy Wodzinowskiego — pochodzą z haremów Dalekiego Wschodu, skąd przez Włochy wraz z królową Boną do Polski zawitały w 16-tym wieku, a na szyje dziewek trafiły w 18-tym wieku w postaci najlichszego gatunku świecidełek sztucznych od chałupników jubilerskich, nie dopuszczonych do cechu za partactwo, tak samo jest z ubraniami, z kapeluszami, którymi raczyli nas rzemieślnicy miasteczkowi z pokolenia w pokolenie w tandetnych niezmiennych fasonach swego pomysłu. Lepszego jadła uczyliśmy się na straganowych potrawach w miasteczku, kute skrzynie malowane przejęliśmy z miasta, kiedy ono zastąpiło je szafą — i to wszystko było i jest dla nas ludowe, święte od samego Piasta. To też nie nasze— te chłopskie kartofle, akacje dla pszczelarza, bez w ogródkach dziewcząt — bo dopiero w 17-tym wieku przyszły z Ameryki i południa Europy. I przyjęliśmy i nie wstyd nam, ale nie honor poznać prawa przyrody, do których odkrycia żadną miarą nie mogła dojść słowiańszczyzna, a której dziś nie odkrywać nam trzeba, ale chociaż nauczyć się. Praw przyrody, jakie zna fizyk, inżynier-mechanik, elektryk, chemik, lekarz, architekt.

HASŁO MŁODOŚCI!

Kończy się ten artykuł — hasłem, a z haseł składa się każda „Oda do młodości", i wagę nadaje im dopiero ich rola historyczna. A cóż może być dla nas piękniejszego nad dochowanie się zastępów własnej, chłopskiej inteligencji technicznej. Po szkołach, po świetlicach, po kołach, spółdzielniach, umiejmy rozpalić młodzież a nawet dzieci do poznawania **tajników** przyrody, do wytworzenia **cudów techniki**, a będziemy mieli swoją arystokrację — uczonych i tęgich praktyków, z jakiej już są dumne na Zachodzie dawne narody chłopskie. Dopiero oni wespół z naszą inteligencją humanistyczną wniosą poprawę w to, co nam się w życiu miejskim nie podoba, ale oni stanowczo przejmą wszystko, co tam było nieprzerwanym podnoszeniem cywilizacyjnym, aż po dzisiejsze próby użycia energii atomowej, zwiastującej nową epokę w technice produkcyjno-pokojowej.

Stąd błyska gwiazda lepszego jutra. A mówię to odkładając trzy świąteczne listy. Wszystkie pochodza od byłych uczniów z konspiracji. Jeden od politechnicznej piątki, drugi od licealisty, donosi, że jego kolega chce w Ruchu Ludowym grać poważna rolę, musi wiec zostać inżynierem, trzeci od najmłodszej z II klasy. Pisze mi o profesorze matematyki, „on zawsze mówi na mnie synowa przy całej klasie, tak, że nieraz mnie ognie obsypują, tak się wstydze. Na Mikołaja dostałam od jego syna z III. klasy prezent, a ja również mu posłałam, tak że ani on nie wiedział, że mu szykowałam, ani ja, że on mnie". Ale wie już, że pójdzie na medycynę, bo „siostra zdąży skończyć szkołę spółdzielczą, aby mi pomóc materialnie w studiach".

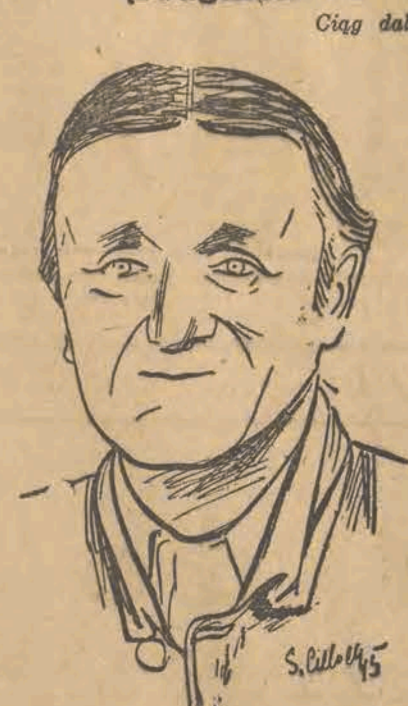
Oto jest nowa postać niegdyś mistycznego stosunku do słońca i ziemi — współczesna! Upowszechnijmy ją w Nowym Roku Nowej Polski!

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Janosik

(Fragment III — o zemście Janosika)

Ciąg dalszy z Nr. 20 „Wsi".



rys. St. Cieloch

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Spotkali się dwa junaki oba.
Hej kleryku, skąd te złote ubiory?
czy święta czy zapusty?
Zbielał młody pan jak chusta,
koń bez jeźdźca pognał po łące,
wędzidłami dzwoniąc.
Dwa junaki spotkali się na polu,
ostał żyw tylko jeden...
Słońce dawno minęło wśród pola, chylił się dzień.
Młody pan był twarzą do ziemi,
krew siczała z szerokiej rany i rozlewała się ślisko
Janosik raźnym krokiem
polem szerokim
zdążał na przełaj do dworu.
Pan wyszedł po obiedzie na ganek
użyć wczasu,
pod odwieczerz
usiadł na szerokiej ławie,
pykał faję,
wzrokiem błądził po szerokim łanie,
płatach lasu,
w dali wysoczyły się Tatr granie...
Brama otwarła się zuchwale,
zamąciła odwieczerz hałasem,
zgrzytem zawiasów.
Witaj panku!
Przychodzę do ciebie w gości,
wyliczyć się, wyprościć,
za otrzymane od ciebie łaski —
gwarzył Janosik.
Po ostrzu i po toporzysku
spływały czerwone nitki krwi.
Sprościmy się żelazem,
Dawaj panku piniąze!
hajduk z flintą wyskoczył,
pod bramę się zatoczył
cięty toporzyskiem przez pysk.
Dwór zaczął skamleć chłopskiej łaski.

Karczma stypą pijana
Karczma stypą śpiewana
trzęsą się okience
jazgotem gęśli.
stary Lewek w półgarnce nalewa.
Stary Jano na kiju nożem znaczy półgarncówki,
nie oszukuj no sobako.
Zmrok do karczmy zapukał,
zaświecaj, Lewku, fakły,
bo podkurzymy strzechę.

Stary Jano pijany ślimaczy,
półgarncówki liczy,
pląta się.
Gromada ma uciechę.
W okna karczmy uderzyla czerwień obuchem.
Niebo rozdarło się na pół krwawą łuną.
Ktoś krzyknął: — Gore- Gore!
Ogień!
w sieniach
niskie dźwierze zaparły się tłumem
ścisk.
Westchnienie wyrwało się ulgi,
nad wsią cisza.
Westchnienie wyrwało się ulgi,
diabli dwór biorą.
Nie pójdzie się jutro na pańskie.
Dworusy pijani toczkiem lecieli ratować Dwór!
Ekonom chrapiał: — Gromada chłopi!
k . . . m . . .
nie było woli —
Gromada uparta jak bór
stypa. . .
Karczma śpiewa pijana,
Diabli nie wezmą pana,
do rana.
ekonomie teraz noc — idź spać!
Stary Lewek zaczął nalewać półgarnce
ozwały się gęśle.
Janosik przez otwarte dźwierze karczmy
wpadł do wnętrza.
Jakby powiał halny wiatr.
Niedługi kleryk w rozwianej sutannie
podoba ziemnej glisty,
ale
siumny zbójnik,
syn Tatr,
cud to oczywisty.
Jękły gęśle, zadudnił bas,
żyd w ukłonach podleciał pejsaty.
Kołpak złotem czerwony,
piórka chwieja się w te i te stronę,
pasik złotem kuty,
ciżmy złotem sute,
sznur czerwony, krzesiwa —
niech się świat nań podziwa.
W mocnych ręcach ciupaga
wre gotowa na wroga
na toporzysku dźwięczy
sto kółek sto złotych obręczy
Po jasnym ostrzu cienkimi nitkami spływa krew.

Chłopi — i — i — i — i!
kielo wos zapraszam na pańskie pogrzeby
do dworu!
tęgie miody, pszeniczne chleby —
szlachecka stypa.
W karczmie zaległa cisza jak w czas pomoru.
Dawaj wódki!
Gęśle grać!
Sypią się pieniąze
po podłodze
srebrne talary, złote dukaty.
Ścisk.
Wołaj, Lewku, zapłaty!
Szaleństwo- Śpiew!
Pieśń się kończy, ściągam kurtynę
Karczma była pijana do ra[illegible]
Ze spalonego dworu leciał p[illegible]

z listem od pani
z listem do jaśnie grafa Ko[illegible]

— Ratunku!
— Chłopska rebelia!
— Niepogrzebione leżą trupy [illegible]
— Dwór spalony!
Janosik na ciupadze skoczył [illegible]
zwoływać braci wiernych to[illegible]
Czernią się wierchy, chłopskie [illegible]

O Nędzy Kubińcu słów parę

Ciekawe i burzliwe życie miał urodzony w r. 1896 w Kościelisku poeta Stanisław Nędza-Kubiniec. Syn biednego i obarczonego liczną rodziną gazdy, jak to przejmująco opisuje w partiach lirycznych swego „Janosika" przebył wszystkie koleje życia chłopca góralskiego - pasanie owiec, koszenie, orka, może i zarobek w dolinach?...

Do szkoły średniej nie chodził, nie śniło mu się pisać wiersze - w roku 1920 wzięty pod Kijowem do niewoli zawędrował do Rosji i przebył tam bogate w zdarzenia, jak to sam lubi opowiadać - 3 lata życia.

O jakie miasto się nie otarł, gdzie nie był? Na co nie patrzył? Słuchał i wykładów Plechanowa, bacznie przypatrywał się tamtejszemu życiu - tam dojrzewał.

Po powrocie do kraju osiadł na gospodarce ojca, ożenił się, brał udział w życiu politycznym, począł pisać. Od razu zwrócił na siebie uwagę swoją surową a dostojną, liryką chłopską. W r. 1936-ym wychodzi jego pierwszy tomik nakładem Koła Związku Podhalan „Na nową perć" - Koniński poświęca mu rozdział w swojej „Antologii pisarzy ludowych" a „Ateneum" Napierskiego - czołowy periodyk literacki przedwojenny drukuje jego słynny wiersz „Do mojej gwary".

Dziś jest Kubiniec wójtem w swoim Kościelisku, orze, sieje jak i dawniej. Jako góral, lubi czasem popić, podowcipkować, robić pustaka z siebie, w gruncie rzeczy jednak bardzo dużo czyta i pisze swego „Janosika" z pasją, a serdeczną męką. Poemat, w którym jednoczą się elementy różno[illegible]ne: baśniowe, klasowe, bohaterskie, liryczne, nie jest równy i wytrzymany w swej formie literackiej - ale wciąż zastanawiający i przejmujący. Z taką siłą, prawdą o nędzy i tęsknocie chłopskiej ku wolności, równości i pięknu dawno u nas nikt nie pisał.

Formiści może by powiedzieli, że to nie poezja, że to proza i nieskoordynowana - nie zgadzam się. Owszem w „Janosiku" kłębi się od złej literatury [illegible] nie ten wiersz wolny, młodopolski n[illegible] kiedy [illegible] to tylko [illegible] z dna idzie ku nam surowa, mocna poezja

S. P.

KAZIMIERZ BUDZYK

Dyskusja o gwarze

Lekkomyślna dyskusja na poważny temat

W naszej dyskusji o gwarze zabierają kolei głos przedstawiciele nauki i krytyki: Kazimierz Budzyk i Artur Sandauer. Dwugłos ten, nawiązujący do dotychczasowych osiągnięć dyskusji, jest uzupełnieniem poprzednich wypowiedzi — Józefa Pogana i Ant. Urbana. (Nr. 19 i 20 „Wsi“). Gdy jednak dwaj pisarze chłopscy określali gwarę subiektywnie, z punktu widzenia własnego zamiłowania i własnej twórczości, — to tutaj, w wypowiedziach krytyków, mamy ujęcie obiektywizujące; ogólne, teoretyczne. Dwaj krytycy reprezentują odmienne punkty widzenia, i inne pozycje dyskusji ich zainteresowały (Sandauer analizuje Kubisza, Budzyk nawiązuje do sławetnej rozprawki o „Mitologach wsi“ w „Kuźnicy“). Zaznaczamy tu, że wypowiedź K. Budzyka ze względu na brak miejsca została przez nas podzielona, i dokończenie jej zamieścimy w innym numerze „Wsi“.

*

Dyskusja w sprawie gwary rozwijała się dotąd pod znakiem koncepcyj, wynikających raczej z osobistego przeświadczenia wypowiadających się autorów, nie popartych odwołaniem się sprawdzonej rzeczywistości. Mgliste wyobrażenie o faktach i samo tylko zacięcie polemiczne czy talent publicystyczny to o wiele za mało, jeśli się chce wnieść do sprawy coś więcej niż ryzykowne tezy i... ciekawie napisany artykuł.

Nie mam zamiaru uczestniczyć w tym chórze rozpolemizowanych głosów. Nie będę również roztaczał wpierw wielkich teoryj po to, żeby do nich słabo znane fakty dociągać. Chciałbym raczej wyjść od niepozornych i mało efektownych stwierdzeń, które same przez się narzucą pewne konsekwencje ważne dla wiedzy o tej części naszej kultury i dla możliwości jej takiego czy innego rozwoju.

PRYMITYWIZM GWARY

Gwara jako narzędzie społecznego kontaktu językowego jest systemem bardzo prymitywnym, uzależnionym w tym zakresie od sytuacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej posługujących się nim ludzi. Ograniczony i nie rozwijający się dalej zakres działalności chłopa wycisnął trwałe piętno na jego umysłowości i jego języku. Potocznie znany jest jego niesamodzielny charakter myślenia, szukającego zawsze oparcia w konkretnej formie rzeczy. Abstrakcyjna myśl, pragnąca odrazu w pełni się wyrazić, jest chłopu najzupełniej obca. Stąd to wynika, że przeważającą formą socjalno-językowego kontaktu jest na wsi rozmowa, stąd brak gwarze abstrakcyjnych pojęć. W dłuższej wypowiedzi będziemy mieli specyficzny tok opowiadania: charakterystyczne powtórzenia dla dobitniejszego wyrażenia myśli, znamienne zwroty, kierowane do słuchaczy, wpadanie słuchacza w opowiadanie często nawet przez opowiadającego sprowokowane, — tok świadczący o pierwotnym prymitywiźmie niewykształconego umysłu, nie umiejącego się zdobyć na samodzielną relację.

JEJ JEDNOSTRONNOŚĆ

Pedagog s[illegible]rymitywizmu warto w gwa- zasady nowej [illegible] jednostronność. Wynika to by więc cona[illegible] społecznie jednorodności tość kultury [illegible]ego. Gwara jest po prostu twórczych osią[illegible]zykiem potocznym. Wieś wychowaniu, [illegible]zna. Zróżnicowane potrzewać jednostkę [illegible]ieka wykształconego stwospołecznego — [illegible]ów, którymi biegle się powojowi kultur[illegible]sze zdając sobie sprawę z przed uschni[illegible]aczej gawędzimy w przyjatworzona. [illegible] innego języka używamy. 2) Demo[illegible]łos w uczonej dyskusji, w dzy i ze w[illegible]owach układamy tekst prawniczych [illegible] czy rozporządzeń, inaczej składamy jakieś uroczyste oświadczenie, jakże inaczej brzmieć będzie nasz język intymny, i t.d., i t.d. — co inna sytuacja życiowa, to odrębny język. Różnica między człowiekiem wykształconym a chłopem polega nie tylko na większym u inteligenta zróżnicowaniu potrzeb kulturalnych. Chodzi o to, że po to, by język mógł się tak swobodnie naginać do każdej odrębnej sytuacji, potrzebny jest pewien dość wysoki stopień wyrafinowania kulturalnego, którego przecie nie uświadczy na wsi. Stąd też z jednostronności językowej chłopa wcale nie można wnosić o jego jakoby ubóstwie wewnętrznym i braku zainteresowań.

BŁĘDY „POLITYCZNEJ“ OCENY GWARY

Omówione dotychczas cechy gwary, zwykle zresztą bardzo pobieżnie i powierzchownie obserwowane, piętnuje się obecnie jako barbarzyństwo, jako wynik nieoświeconej tradycji zaś samą gwarę jako samoobronę klasową chłopa przed... robotnikiem i inteligentem. A tymczasem, rozwijając zakreślone już ramy ustrojowe, dążymy przecie do osiągnięcia powszechnie możliwie najwyższego poziomu kulturalnego, w konsekwencji zaś do społeczeństwa bezklasowego. Istotnie takie są nasze dążenia, ale czy choć trochę zbliży nas do tego celu tępienie gwary i propagowanie ogólnie—literackiego języka na wsi? Dzieje kultury znają taki eksperyment, kiedy to najbardziej oświecona garstka społeczeństwa greckiego, patrząc z przerażeniem na zatracenie piękna ojczystego języka, ucieleśnionego w arcydziele Homera, postanowiła zreformować powstałe w ciągu wieków gwary i przywrócić literacką postać greczyzny. Ten jedyny w dziejach eksperyment się udał, ale czy powstrzymało to w biegu historię? — czy z dzisiejszymi Grekami mógłby się Homer porozumieć?

Doprawdy zostawmy gwarę w spokoju, bo to niepoważnie wygląda. Tym bardziej niepoważnie im bardziej jest się marksistą. Idea społeczeństwa bezklasowego o podniesionym ogólnie poziomie kulturalnym nie zakłada bynajmniej konieczności zniwelowania wszelkich różnic między jednostkami czy grupami ludzkimi — a już najmniej różnic językowych. To też źle by się stało, gdyby jakiś zapamiętały, a nieświadom rzeczy reformator z mocno osadzonym ćwiekiem ideologicznym w nie dość oświeconej głowie chciał skazać chłopów na jednojęzyczność. Ktoś, co się powołuje na mickiewiczowski i czarnoleski stosunek do słowa, powinien by pamiętać o jeszcze jednym stosunku, który się wyraził w nieśmiertelnej strofie Słowackiego:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa“.

Właśnie bogata wielojęzyczność a nie narzucanie przeciętności ogólno-kulturalnego dialektu — oto ideał, którego urzeczywistnieniu naprawdę warto poświęcić wiele wysiłku. Tylko, że da się to osiągnąć nie na drodze zreformowania języka, lecz przez zwielokrotnienie potrzeb kulturalnych człowieka. I dlatego — powtarzam — zostawmy gwarę w spokoju.

JAK SIĘ KSZTAŁTUJE STOSUNEK CHŁOPA DO GWARY?

Główną podstawą, z której rozwija się wielojęzyczność inteligenta jest język domu rodzinnego — język, jak to się mówi, wyssany z mlekiem matki. Dla dziecka chłopskiego tym językiem codziennym jest gwara. I żeby nie wiem jak wielkie nadzieje na niwelowanie gwary przywiązywać do wpływu szkoły, tego zasadniczego faktu nic nie zdoła przekreślić. Nie należy zapominać, że gwara jest poza tym językiem środowiska, z którego dziecko chłopskie pochodzi i w którym żyje. Jak wielkie ma to znaczenie, niech zaświadczy obserwowane po wielekroć jezykowe „schłopienie“ tych dzieci rodzin inteligenckich, które uczęszczają do szkoły wiejskiej czy małomiasteczkowej. Dwa te fakty rozstrzygają bezapelacyjnie wszelkie spory czy obawy teoretyzujących na ten temat autorów, którzy wnioski mają gotowe wcześniej, niż do nich dotarli, i którzy wobec tego czują się zwolnieni od konfrontowania swych tez z doświadczeniem i oparta na nim wiedzą. Zanim przyszły inteligent chłopskiego pochodzenia stanie się istotą wielojęzyczną, już od 7-go roku życia zaczyna poznawać drugi swój język, a mianowicie dialekt kulturalny, którego opanowanie praktyczne — jak przy każdym obcym języku — przez długie lata będzie tylko częściowe i stosunkowo prędko dziecko uzyska w nim biegłość tylko w zakresie czytania, natomiast mówienie naprawdę płynne i bez zahamowań opanuje uczeń najwcześniej dopiero w latach dojrzałości Z pisaniem jest o wiele lepiej, gdyż język ogólno-polski jest jedynym językiem pisanym, jakiego dziecko używa. Biegłość pisarska w gwarze jest już kunsztem, który nie bez wysiłku wtórnie trzeba zdobywać.

Tak przedstawia się sprawa gwary od strony szkoły. Dalszy stosunek chłopa do swojego języka określi jego pozycja społeczna i rodzaj zajęć, jakim się będzie oddawał. Jeśli pozostanie u siebie i straci związek z życiem kulturalnym zapoczątkowanym w szkole, powróci całkowicie do góry, zachowując co najwyżej jaką taką sprawność (bo już nie biegłość) władania językiem ogólno-polskim w czytaniu. Jeśli chłop będzie brał czynny udział w życiu społecznym i kulturalnym, zostanie zasadniczo dwujęzycznym i wtedy gwara będzie językiem codziennym, zaś dialektu kulturalnego będzie używał od wypadku do wypadku — czy to w rozmowie z „panem“, czy też w jakimś wystąpieniu publicznym — stale zaś będzie stosował język ogólno-literacki w piśmie. Gdy wreszcie wyjdzie chłop ze swej sfery i zwielokrotni swe potrzeby kulturalne, dialekt ogólno-polski w całym swoim bogactwie stanie się jego zasadniczym językiem w mowie i piśmie, natomiast gwarą będzie się posługiwał za każdym swoim pobytem w domu rodzinnym, oczywiście, gdy mówi o sprawach nie wykraczających poza krąg zainteresowań tubylczego rozmówcy.

Widzimy więc, że całe bogactwo języka ogólno-polskiego dostępne jest, jak dotąd, tylko chłopskiej inteligencji. Wiąże się to z jej funkcją społeczną, która polega na współdziałaniu z kadrami inteligencji miejskiej w tworzeniu ogólno-narodowej kultury. Na odcinku humanistycznym w wielu wypadkach właśnie język będzie narzędziem tej twórczości, toteż opanowanie go bez reszty jest zasadniczym warunkiem, od którego zależy możliwość dalszej pracy. Szerokim warstwom konsumentów kultury na wsi życie tego warunku nie stawia i stawiać nie może choćby dlatego, że nie daje możliwości jego realizacji. Toteż czy się to komu podoba czy nie, wieś na długi czas jeszcze w najlepszym wypadku pozostać musi dwujęzyczna i będzie to dużym osiągnięciem pedagogicznym, jeśli rzeczywiście potrafimy doprowadzić do opanowania tam dialektu kulturalnego w stopniu zbliżonym do sprawności, z jaką chłop posługuje się gwarą. Podniesienie poziomu kulturalnego na wsi niewątpliwie gwarę wzbogaci, stępi jej prymitywizm, powiększy zasób słownictwa, może zróżnicuje ją funkcjonalnie, ale żeby miał tam zapanować przyjęty ogólnie standart mowy (jaki mianowicie — potoczny, naukowy, literacki, salonowy?) — niech się nikt tego ani nie spodziewa, ani obawia. Język zbyt jest zdeterminowany warunkami ekonomicznymi i sytuacją społeczną środowiska, żeby tego rodzaju proroctwa miały się kiedykolwiek spełnić. Warto o tym przypomnieć zwłaszcza domorosłym marksistom.

ROLA GWARY W LITERATURZE

Gwara jest od dialektu kulturalnego uboższa — to jasne. Wynika stąd w sposób oczywisty, że twórczość literacka, która by wyjść poza gwarę nie chciała, skazywała by się na tak wielkie ograniczenia, że straciła by niechybnie możliwości dalszego rozwoju a w konsekwencji stałaby się właściwie zaprzeczeniem pojęcia twórczości. Czy jednak można wyciągnąć stąd wniosek, że „literatura powinna zacierać różnice dialektalne mowy, a nie pogłębiać je?“ Brzmi mi ten nakaz jakoś fałszywie. Dlaczego to literatura ma być w ogóle obciążona jakimś tego rodzaju obowiązkiem? Przecież to obowiązek nieomal policyjny. Co jej do tego — literaturze — czy chłopi mają się wyzbyć swego języka, czy też mają go kultywować.

Bardziej przemawia mi do przekonania takie postawienie kwestii, które się wyraża w stwierdzeniu, że „wprowadzenie gwary do języka literackiego (ścisł. literatury) (nigdy całkowicie, zawsze tylko fragmentarycznie) musi być uwarunkowane artystycznym chwytem“. Odpowiada mi — podkreślam — postawienie tej sprawy, bo ten nawiasowo przytoczony znów nakaz sugeruje niesłuszny, mym zdaniem, pogląd, jakoby całkowite wprowadzenie gwary, czyli chyba (tak to rozumiem) wprowadzenie jej jako jedynego w danej chwili systemu językowego, nie mogło być uwarunkowane chwytem artystycznym. Nie jest zaprzeczeniem uczciwego wysiłku artysty ani też nie jest fotograficzną łatwizną pisarską **każde** przejmowanie gwary w jej autentycznej postaci. Tam, gdzie język utworu literackiego odtwarza stan ogólnie w danej chwili panujący (a zdarza się tak nie tylko w utworach pisanych gwarą) — wysiłek artysty polega na osiągnięciu trafności wyrazu w ramach przyjętego systemu językowego i na sharmonizowaniu słownej realizacji utworu z pozostałymi elementami dzieła. Oryginalna twórczość językowa jest rzadkim przywilejem geniuszów słowa, którzy swymi dziełami wyznaczają słupy graniczne poszczególnych epok. Nie wszyscy dorastają tej miary a jednak trudno by całej reszcie pisarzy odmówić rzetelności wysiłku i dużego nieraz znaczenia dla literatury. Sprawiedliwość nakazuje traktować autorów piszących gwarą przynajmniej tak, jak pisarzy korzystających z zastanego jezyka ogólno-polskiego czy ustalonej konwencji językowej w literaturze. Stosując te kryteria okaże sie, że taki np. Nedza-Kubiniec jest pisarzem całkiem serio i wcale nie tak pośledniej miary, bo zarzut hitlerowszczyzny ideologicznej wysunięty pod adresem poematu opiewającego bujny temperament harnasiów trzeba chyba z miejsca położyć na karb nie mniej bujnego temperamentu polemicznego zagalopowującego się publicysty.

CZY GWARA „WZBOGACA“ CZY „ZUBAŻA“ TWÓRCZOŚĆ?

Przejdźmy jednak do gwary. Nie potrafi ona wyrazić wszystkiego — jest, jak wyżej stwierdziłem, od dialektu kulturalnego uboższa. Ale czy wobec tego wprowadzenie jej do literatury musi literaturę zubożyć? Jest rzeczą oczywistą, że jej nie potrafi wzbogacić, gdy literatura weźmie na siebie mało pociągający „obowiązek“ niwelowania odrębności dialektycznych gwary. Gwara w swym niewatpliwym prymitywiźmie i jednostronności jest jednak dorobkiem — i to nie byle jakim — dotychczasowego rozwoju kulturalnego chłopa. Tak by się zdawało, że raczej twórcze wykorzystanie tego dorobku niż niwelacja wielowiekowych osiągnięć jest prawdziwym, bez cudzysłowu, obowiązkiem literatury.

Jedną z ważniejszych cech języka literatury jest obrazowość. Stwierdziliśmy wyżej, że ograniczony i nie rozwijający się dalej zakres działalności gospodarczej i kulturalnej chłopa nastawił w pewien określony sposób jego umysłowość i w pewnym określonym kierunku wykształcił język. Właśnie w kierunku obrazowości, która jest tak charakterystyczną cechą języka literatury. I nie bez kozery, a przynajmniej wcale nie w bezkrytycznym upojeniu gwarą wołano kiedyś: „to tężyzna, to krzepa, to staropolska mowa!“ Właśnie wtedy — nie teraz — poznano się dobrze na gwarze. Na wylot przeznał ją Orkan, któremu także i w tej dziedzinie poniektórzy istotnie nie sięgają do kostek.

Jestem jak najdalszy od pochwalania reakcyjnej społecznie podbudowy ideologicznej tego tam kiedyś ruchu, ale w imię właśnie krytycyzmu i zdrowych tendencyj, które w marksiźmie każą na odcinku kultury nie negować, lecz twórczo przepracowywać dotychczasowe osiągnięcia historycznego rozwoju — w imię tych zasad chciałbym, żeby stosunek literatów do gwary zerwał z neofickim wulgaryzmem sensownych w gruncie rzeczy teoryj.

Twórcze przepracowanie nie może się zaczynać od lekceważenia i gruntownej nieznajomości przedmiotu. Zaś znawstwo w zakresie języka to istotnie rzecz arcytrudna. Dlatego też wprost przerażony jestem wielką liczbą tych, którzy czują się uprawnieni do zabierania głosu w sprawie gwary, jej przyszłych losów i jej roli w literaturze. I to co artykuł — to autorytet. Czyż by tak się miała przejawiać demokracja? — Całkiem bez złośliwości, ale bardzo by się przydało, żeby te autorytety przeszły niejakie przeszkolenie na seminarium prof. Nitscha. Albo, jeżeli nie, to przynajmniej żeby wstąpili do mającego powstać **Powszechnego Uniwersytetu Rzetelności Pisarskiej**, w którym wszystkim publicystom mają wbijać w głowę: jeśli na czymś się nie znasz, to o tym nie pisz.

JULIA HARTWIG

Na wsi

**Malec brudny jak ziemniaczek zbiega z pagórka by zdążyć,
ale już chłopaki zbierają na plecy ogniska jesienne
i chronią się do chałup.**

**Gdy na dworze sieci szronu i rzeczułka zastygnie łukiem
wędzą się przy kominie chłopi,
zanim z obręczy rolniczego kółka
nie wyjdzie do świetlicy schludna córka gospodarska z półmiskiem
zanim chłopak nie wróci ze szkoły,
niosąc groch piękny, jak holenderski tulipan.
Tymczasem na próżno nadsłuchują nocą rżenia
nędza jak koniokrad uprowadza konie z ich snów
i ledwie wydrapują dobre słowo z dna miski**

**choć dym idzie z komina prosto
i wjeżdża pociąg na stację wioząc najnowsze gazety.**

Dyskusja o gwarze

ARTUR SANDAUER

O literaturze gwarowej

Przeżywamy obecnie w piśmiennictwie chłopskim, zgrupowanym dokoła „Wsi" — odrodzenie narzecza. Prozaicy, ba nawet poeci chłopscy nie tylko, że wprowadzają do swych utworów wyrażenia gwarowe, ale — co więcej — normalnym polskim słowom nadają kształt jak najbardziej odmienny od literackiego. Poeta Paweł Kubisz uważa widocznie, że byłoby kompromitacją dla jego ludowości, gdyby — zamiast „stojym" — pisał „stoję", a zamiast „pod mokróm wargóm" — „pod mokrą wargą". Warto by się zastanowić, czemu lub komu ma służyć to przekręcanie normalnego języka i pisowni? Publiczności chłopskiej? Wątpię, aby chłop —chociażby z tego samego powiatu, co Kubisz — łatwiej zrozumiał „stojym" niż „stoję". Dla mieszkańca zaś drugiego powiatu, gdzie mówią na przykład „stoji", słowo „stojym" będzie już zupełną zagadką. A może, używając gwary, poeta chce wywołać wrażenie w czytelniku, że poezja jego jest rdzenna i ludowa? Lecz taka, robiona z rozmysłem, poezja chłopska — pozostanie zawsze tworem sztucznym. Chłop prawdziwy stara się wyzbyć, jeśli może, błędów w swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są, oczywiście, inteligentami z wykształcenia, starają się przyswoić sobie tych błędów jak najwięcej. Jeśli utwory swe przeznaczają dla chłopów, to niepotrzebnie obniżają się do jakiegoś tam — rzekomo niskiego — poziomu. Chłopi wymagają literatury równie poprawnej, jak każda inna publiczność, tylko może bardziej konkretnej i rzeczowej. Jeśli zaś utworami swymi chcą zdobyć nas, mieszczuchów, to uprzedzam, że pisanie „stojym" i „wargóm" nie przekona nas wcale o ich ludowości. Inteligenci, którzy władają doskonale mową literacką, nagle zaczynają się sztucznie udziecinniać przy czym tylko ich słowa są poprzebierane w kolorowe stroje, myśli zaś po staremu książkowe i inteligenckie. Tak np. w zwrotce Kubisza

> I poetóm, mścicielem
> Wyróść na świat niedzielóm
> I raz zagrać w organy
> Świstem w huku targanym

owe „świsty w huku targane" z pewnością nie mają charakteru ludowego. Pocóż Morton w zdaniu, które brzmi normalnie, po literacku, wstawia nagle „pomyślunki" zamiast „myśli"? Jest to nie tyle kwiatek do kożucha, ile kożuch do kwiatka.

Wzbogacenie języka literackiego wyrazami gwarowymi dopuszczalne jest tylko wtedy, jeśli 1) autor chce wywołać efekt komiczny (Szczepcio i Tońcio), o czym chyba w cytowanych powyżej przykładach nie może być mowy, 2) jeśli nie mówi od siebie, lecz przytacza cudze powiedzenia, 3) jeśli cały utwór wkłada w usta osoby trzeciej (Tetmajerowy Sabała), 4) jeśli rzeczywiście inaczej pisać nie umie. W przeciwnym wypadku będzie to zawsze zabawa, zabawa zresztą dość szkodliwa, gdyż utrzymuje czytelnika w przekonaniu, że chłopu dobrze z niewiedzą i półanalfabetyzmem, że to nasze rodzime itd.

Nie mówiliśmy dotychczas o tych wypadkach, gdzie gwarę uważa się za nowy i odrębny język. W XIX wieku t.zw. Felibrzy, Mistral, Roumanille i in. wprowadzili z powrotem język prowansalski do literatury. Ludność wiejska Francji południowej czyli t.zw. Langwedocji mówi tym językiem, zupełnie odmiennym od francuskiego i niezrozumiałym dla mieszkańców Północy. Arcydzieło tej szkoły Felibrów „Mirejo" czytaliśmy w jednym z ostatnich numerów „Wsi" w bardzo udatnym przekładzie Jastrzębca-Kozłowskiego. Mamy tu jednak różnicę nie gwarową już, lecz językową i nawet... polityczną. Tworzenie odrębnego języka w obrębie jednego państwa świadczy najczęściej o dążeniu do politycznego wyodrębnienia się. Jedności języka polskiego nie należy jednak rozbijać. Można go tylko wzbogacać, lecz nie należy tworzyć całych szkół literackich, których jedyną racją bytu jest to, że piszą gwarą danej gminy lub powiatu.

LEON SOBOCIŃSKI

JANKO—RYZYKANT

(Nowela naszych dni)

Miał lat 6 ten Janek. Nie więcej. Chyba nawet mniej. W każdym razie był grubo młodszy od „Janka muzykanta".

Od niego samego w tej materii nic pewnego dowiedzieć się nie mogłem.. Reprezentował bowiem ten okres życia w którym lata się nie liczą. Są jeszcze nieważne, takie pisklęce lata. Nawet nie szczenięce.

Niedożywiony. Ot, zwyczajnie, małorolnych rodziców dziecko. Całym bogactwem licznej rodziny była krowa z jałówką. Ojciec chlał i bił żonę z chłopskiego kaprysu. Była słabowita, chora. Pewnie bił za to, że chora. W domu obowiązkowo co rok zjawiał się prorok. Rodziła jak ziemia. Z czworga drobiazgu Janek był najstarszy.

Poznałem Janka któregoś tam roku okupacji. Zimą to było. Wielgachny śnieg przygniatał pola, drogi. Na dworze ciskał się wiatr, jak zły pies na uwięzi. Kąsał, kłuł szpilkami lodowatego śniegu. Nie z przyczyny mrozu. Z powodu żandarmów. Ukrywałem się wtenczas, jak wielu, wielu innych. Musiałem się skazać na domowy areszt.

Janek, jakąś niepojętą mi dotąd intuicją, wyczuwał niewygodę mej pozycji. Był mi łącznikiem ze światem. Przynosił gazety z miasteczka. Na jego dyskrecję mogłem liczyć. Dziwna rzecz, jak wielkie miałem do niego zaufanie. Bywa ono często podświadome.

Janek przychodził do mnie za dnia i wieczorami. Opowiadał, siorbając nosem, co się na wsi i w jego chacie dzieje. Obdarzony był zmysłem spostrzegawczym. Gdy starsi rozmawiali chytrze, niby nic, na boku coś majstrował, ale pilnie wchłaniał uszami mowę starszych. Stąd jego nie oczekiwane, ni przypiął, ni przyłatał, przemądrzałe zwroty. Gramolił mi się często na kolana, nie pytając o pozwolenie i zmuszając do pokazywania sobie obrazków z książek, ilustracji, z gazet. Jego duże, pełne zadumy oczy, koloru modraka zasłaniał tyleż oberwany, co i sfatygowany latami ojcowy kaszkiet. Czapki, zwyczajem chłopskim, w izbie nie zdejmował. Chodził z rękami w porciętach, zawsze ważny, uroczysty..

Książkę z obrazkami oglądaliśmy już nie wiem po raz który. Był to jakiś stary rocznik „Płomyka". Janka ciekawiło w nim wszystko.

— A co to? Pokaż — nalegał.

Janek mówił mi „ty". Janek wszystkim mówił „ty". Od tej jego poufałości nie broniłyby mnie nawet fiolety arcybiskupa, gdybym je nosił. Kto go tam rozwijał? Kto o nim pamiętał? Zauważyłem, że z chłopcami ze wsi mało wiele przestawał. Tyle tylko, ile konieczność wymagała. Taki był z tego malca wielki samotnik. Bawił się sam. Prawda, nie sam, z Kruczkiem. To było jego towrzystwo, to był jego świat. Z Kruczkiem nawet jadał pod stołem.

Janek miał jedno nadzwyczajne upodobanie. Lubił wycinać obrazki i przyklejać na ścianie.

Nie mogłem w nim zgłębić tego popędu do sztuki dekoracyjnej. W wyniku obserwacji skrzętnie chowałem nożyczki, bo by Janek tego „Płomyka" idealnie wykończył.

— Janek, a kochasz ty ojca? — zagadnąłem go któregoś dnia ni z tego, ni z owego.

— Nu!...

Z początku nie mogłem się domyśleć, co owo „nu" miało oznaczać. Janka „nu" wyrażało wszystko: i tak, i nie, potwierdzenie i powątpiewanie, zdziwienie i pewność siebie. W tym „nu" zamykał się cały jego świat myślowy. Był to skrót jego uczuciowego życia.

— Janek — pytam — co ty chcesz przez to „nu" powiedzieć?

— Nu, ni, stary pijak.

— A ciebie bije?

— Nu.

— Boisz się go?

— Nu, ja bym mu dał w niucha!

Mówiąc to, Janek ściskał nożyczki w ręku.

— Toś ty widzę ryzykant.

— Nu?

Janek wierci się na kolanach niespokojnie. Ojciec bije go często.

Janka nieraz zatrzymywałem na noc u siebie. Było mu dobrze w ciepłej atmosferze naszej przyjaźni. Jak mógł okazywał mi swe przywiązanie. Gdy był nalot żandarmów na wieś, przybiegał do mnie zdyszany.

— Schów się, ziandary!

Gdy było po nalocie, oznajmiał z triumfem, jak by to się stało za jego sprawą:

— Te, nie bój się, pojechali.

I gramolił mi się na kolana. Brał nożyczki w rekę, rozkładał „Płomyka" i zamęczał mnie pytaniami:

— A co to? A co to?

Nie mogłem być niewdzięczny. I w nagrodę musiałem od początku obrazki te pokazywać i objaśniać.

Słuchał, słuchał, patrząc mi w oczy, a gdym się odwrócił, chlast, chlast nożyczkami. Łatwo sobie wyobrazić, jaki żałosny strzęp przedstawiała ta książka. Gdym go zawstydzał, że robi to samowolnie, ukradkiem obiecywał poprawę.

Miał wielką uciechę, gdym mu pozwalał zrobić użytek z nożyczek. Przejrzawszy ilustracje niemieckie, dawałem je na pastwę Jankowi. Dopiero sobie używał. Nic go od tej pracy oderwać nie mogło. Gdym go straszył ojcem, stawiał się:

— Nu, ja mu dam w niucha.

I z niezmąconym spokojem wycinał samoloty, okręty i tapetował ściany. Pozwalałem mu na to. Estetyka wnętrza i tak na tym nie ucierpiała. W całej tej robocie Janka uderzył mnie jeden szczegół ciekawy. Wycinając starannie drobnymi rączkami, malec nigdy nie wyciął i nie powiesił mi na ścianie Hitlera. Gdym Janka zainterpelował o powód tego, rzekł z powagą:

— Nu, sobaka — i pociął kanclerza Trzeciej Rzeszy w drobne kawałki.

Tak nam schodziły wieczory i dni. Żegnał się nieraz ze mną w późną noc, a żegnał się w osobliwy sposób.

— Nu, już trza iść, żeby ten drań matki nie pobił. I poważny, stateczny znikał za drzwiami. Wychodziłem za nim do sieni otworzyć drzwi, bo do klamki było mu za wysoko.

Któregoś zimowego ranka, dobrze pamiętam, kalendarz patrzał na mnie smutną czarną datą 13 stycznia.

Na dworze leżała nieruchoma, biała cisza mrozu. Janek wali do sieni nerwowiej niż zwykle. Wpuszczam go.

— Co ci jest?

— Te, pst, — pst, cicho, szepcze, kładąc palec na ustach, schów się, ziandarmy!

I znikł szybko jak przybył.

Nerwami więcej, niż wzrokiem, widziałem we wsi jakieś niecodzienne poruszenie. Schowałem się na poddaszu domu, wśród rozmaitych rupieci. Do uszu moich dochodzą coraz bliższe gardłowe głosy, krzyki. Domek stał prawie przy drodze. Przez szczelinę widzę żandarmskie mundury. Trzech ich było. Jeden z nich opasły coś sołtysowi pod nosem wygraża i drze się. Sołtys blady, niby ten śnieg. W opłotkach stoją baby. Psy podnoszą swój zaciekły lament. I Kruczek też solidarnie ujada na drodze. Nagle strzał! Nie ma już Kruczka. Kruczek już nie będzie szczekał na Niemca. Żandarm zamknął mu pysk na zawsze. I widzę Janka, jak podejmuje z ziemi Kruczka. Biedny Kruczek, jeszcze biedniejszy Janek. Stracił przyjaciela.

I po tym zrobiła się nieżywa cisza. Przeszli. Czuję jak w sercu tłok ssąco-tłoczący pracuje mi z podwójną energią: raz — raz. Schodzę z góry na dół. Znów rumot w drzwi. Otworzyć, nie otworzyć. Stało się. Nie otworzyć, gorzej. Otwieram. Ale to był Janek — smutny... Przyszedł po szpadel. Swemu Kruczkowi chce sprawić pogrzeb. Sądziłem, że płacze. Zadzieram mu tę nieszczesną czapkę do góry i patrzę w oczy. Naprawdę, nie płacze.

— Janek, co poszli?

— Ni, schów sie, przyńdą po krowe. Schów się ino dobrze. A po chwili dodał frasobliwie:

— Mlika nie bedziewa mieli. Matka leży i dzieciakowi z piersi nie ma co dać. Stary „zachlany". Schów sie, ino schów sie dobrze.

Poszedł i już nie przyszedł więcej. Już Janek nigdy, siorbając nosem, w nasuniętej na oczy czapie nie przyjdzie do mnie...

A było to tak: żandarmi przyjechali po kontygent. Już poczuli sowiecką ofensywę. Robili wynochę i ze wsi spędzili bydło przed sołectwo. Krowy stały przywiązane do sztachet. Sami poszli do sołtysa na tłuste śniadanie, zagrzać się wódką.

Baby polamentowały i rozpędzone strzałami na postrach, skryły się po chatach. Nie uciekł tylko Janek. Wypatrzył stosowną chwilę i gdy nikt nie widział, spuścił z łańcucha ojcową granulę, a ta zwyczajem krowim, w napadzie radości, zadarłszy ogona, pogalopowała do obory.

Podjadłszy sobie kosztem wsi, żandarmi wyszli na dwór. Jeszcze raz liczą liczą i nie mogą się doliczyć jednej krowy.

Sprawa się wnet wyświetliła. Nikt, tylko Janek to zrobił. Niemcy, nie wdając się w długie śledztwo, za karę ogołocili wieś z całego dobytku. Gospodynie pomstowały na czym świat stoi.

— Widzita go, jaki to bękart, jaki to ryzykant, pętaczyna boża.

Zbity przez żandarmów, ojciec stłukł z kolei dziecko na kwaśne jabłko. Zbił bez Boga. Czy Janek płakał — nie wiem!

Na drugi dzień Janko ryzykant nie żył. Nikt po nim nie płakał, nikt go nie żałował.

Ważniejsze były sprawy, szły ważniejsze dzieje. Nawet Kruczek nie zawył na jego mogile, nawet ja, jako przyjaciel jego, tej reji Jankowej grudką ziemi pożegnać nie mogłem.

I pogrzeb Janka był cichy, taki samotny, prawie nijaki.

Obniosło dookoła śniegiem. Świat stał się szary, popielaty.

LESŁAW M. BARTELSKI

Elegia

Jedna jest męska przyjaźń
w mocnym uścisku dłoni,
i karabinów trzask
nie złamie jej.

Lecz jakże wskazać matce
miejsce, gdzie zagasł płomień,
rów wykopany nocą,
gruzy, cegły i zieleń?

Twarzy rzeźbionej kością
nie wessie wilgotna ziemia,
która choć z oczu wyziera
i miejsce serca zajęła.

Strzałem do wroga naszą przyjaźń
umacniam: krótki jest męski płacz,
ciało zostawiam ziemi
i naszą młodość.

GÓRALE — ZEJDŹCIE JUŻ Z HAL!



rys. St. Cieloch

Rok 1945 przeszedł w poezji chłopskiej pod znakiem **gór i rozbójników.**

Paweł Kubisz drukował u nas poemat **„Rebelia Goroli w Mostach"**, **Stanisław Nędza-Kubiniec** — poemat **„Janosik"**, Stanisław Skoneczny — poemat **„Kostka Napierski"**.

W 1946 roku przysłał nam nową powieść Jalu-Kurek. Zgadnijcie pod jakim tytułem? — „Janosik". Redakcja „Wsi" znajduje się w poważnym kłopocie wobec czytelników i dlatego na tym miejscu uprzejmie uprasza pisarzy chłopskich: **„G ó r a l e, z e j d ź c i e j u ż z h a l".**

ANNA KAMIEŃSKA

PROZA POETYCKA



Anna Kamieńska, urodzona w r. 1920, w Krasnymstawie (woj. lubelskie), ukończyła gimnazjum w Lublinie, a następnie, chcąc poświęcić się pracy nauczycielskiej, liceum pedagogiczne w Warszawie. W czasie okupacji pisała sztuki teatralne dla dzieci; trzy z nich, m. in. „Jasełka" i „Sceny wiosenne" były grane przez dzieci dla dzieci, — opracowane ze współudziałem autorki, w napółpolajemnych przedstawieniach w Zakładzie św. Stanisława w Lublinie. Jako poetka debiutowała w „Antologij młodych poetów lubelskich", wydanej przez ZZLP w roku 1944, pozatem większość utworów drukowała we „Wsi" (m. in. sztukę „Dożynki"), pozatem wiersze w „Odrodzeniu" i „Świetlicy lubelskiej".

Kamieńska należy do najmłodszego pokolenia naszych pisarzy. Była jednym z pierwszych współpracowników „Wsi": jako poetka jest ona reprezentantem nowego typu twórczości ludowej, łączącej wysoką świadomość intelektualną, pełne przygotowanie naukowo-literackie, wreszcie tradycję najnowszych, postępowych osiągnięć literatury współczesnej — z poczuciem misji społecznej, z celowym nastawieniem na służbę kulturze chłopskiej, z wysiłkiem opanowania nowoczesnymi środkami poetyckimi tematyki ludowej. Podobnie jak młody chłop - polonista i poeta z łowickiego, Piotr Ziarnik, jak młody chłop i badacz literatury polskiej, Józef Spytkowski — jest ona przedstawicielką awangardy młodego pokolenia ludowego — pokolenia wykształconej i współczesnej kultury chłopskiej.

POEZJA

Cóż? żurawie patrzące w niebo, chmury wam się rymują łatwo, drżenie wieczornego powietrza poddaje rytmy, dym rodzinnego ognia opasuje głowę.

Cóż wam po ciężko skleconym zdaniu, które mozolnie niosę?

Może wyjrzy z niego twarz ludzka...

Taka będzie poezja.

WTEDY

O, jak czyste zachody, jakie wróżą nieba. W słojach powietrza stygną ptaki, serce prostuje się struną.

Lecz dopiero WTEDY, gdy punkt horyzontu rozwija się dymem ludzkiego komina —

chwytam za pióro.

WIOSNA

Las jest w kraju północnym.

Kiedy nastaje wiosna, mgła chodzi między drzewami jak duch śniegu. Nad wodą przystają zwierzęta, aby ujrzeć w zwierciedle swą miłosną piękność. Wyżej kołyszą się złote pręciki liwin, wyżej gwizd ptaka obiecujący szczęście.

A ty ciągle namyślasz się i wahasz, aż suchy liść dębu, ten, którego nie zmogły burze zimowe odrywa się od gałęzi, pada na wodę i mąci odbicie.

W SZKOLE

Każde z dzieci narysuje to, co chciałoby robić najbardziej.

Franek: pniak bodący obłoki, a u stóp jego dwaj człowieczkowie trudzą się przystosowaniem go do przemiany w żarliwą energię, która rozszumi garnek złotej zupy. Obaj pomimo ciężaru dźwiganych guzików w lekkim zawiśli ruchu powalają drzewo dotknięciem siekierek.

Heniek: jak powietrzna, jak przestrzenna jest fryzjernia. Ten długi szereg osób niesie swe przerosłe głowy ku centralnemu punktowi — koło krzesła z wygiętym oparciem trzęsie gałęziami siedmiu ramion wzburzony fryzjer.

Mania: te garnuszki i te miseczki roztoczyła dokładność miłości: ten z uchem, a tamten z dwoma, na tej pstrzy się kwiatek, na innej falisty meander, a z góry fajerki padają, jak wielkie krople rosy.

Jaś: nie sądź, że instrument to zdolny do czystej muzyki, udowodnię, że to koń, choć w czasie rozrósł się tak bardzo, że zabrakło miejsca dla człowieka bronującego po orce.

A ty — cóż narysujesz? Jaką linią otoczysz kształt swego trudu? Jeśli nie wyobrazisz brony, młockarni, garnka — narzędzi ludzkiego ruchu, może tłumaczyć się będziesz długo, że pusta plama twej kartki — to obłok.

JESIEŃ

Bujny wiatr łopoce o północną ścianę, gwiazdy miele.

Dobrze wpaść w gromadę gorącą od gwaru, dobrze i na żarty kobiece — dziewczyny ostro, gorzej baby cię dotkną — dobrze na koleżeńskie umowy.

Szparami śmiechy w noc się sączą, strzępi je wiatr w sadzie.

Do sadu wyszła dawno przekwitłego, chusteczkę wiatr jej zerwał — liść ostatni.

Nie uciekaj od ludzi.

Chodźże do gromady.

Czy tak żałujesz pocałunku, coś mi dała?

DROGOWSKAZ

Drogowskaz: idąc dalej dojdziesz do wioski. Leży ona pod sosnami w kałuży cienia, po której pływają wronie pióra. Gasną kwiaty pod ułomkami chałup i zaczyna się zima.

Dzieci czerwonymi rączkami rozdrapią ostatnie płaty kory — i drzewa jak nagie żyły zadrżą szarpane wiatrem. Będzie z tego muzyka dla bezlitosnego ucha.

Drogowskaz: tkwiący ciężkim sercem na dnie wioski patrzę, jak siostra uśmiechem zapala lampę na kominie.

MIŁOŚĆ

Kto by obwiniał nas o zatopienie się w sobie:

Kipi zgromadzenie chłopskie w czworackiej izbie z uderzeniami pięści i wybuchami śmiechu. Bo wali się budynek szkolny, a raniony żołnierz armii narodowej runął w przepaść.

Tym emocjom nie wyznaczono miejsca w słownikach. A my ocaliliśmy je w żyłach dzięki temu, że w chwili tej nad sceptyczny spokój ducha przenieśliśmy wzburzenie wyobraźni, czujność nerwów i napór krwi.

GARNCARZ

Pod niebem garncarz wywyższony bosą stopą kręci koło. Niżej zaś stoją garnki, garnuszki i miski. Jedne chropawe, inne już lśniące od polewy jak ziemia po deszczu. Jeśli poniesie je na targ w wymoszczonych sianem kobiałkach, za garnek zapłacą, nie za formę. Raduje to jego serce trudzące się bezinteresownie.

Glina pryska na liście chmielu, rudawy deszcz otacza robotnika. Palec światła z nieba wodzi uważnie po powierzchniach wklęsłych i wypukłych, a potem powtarza je sobie na obłokach linią idealniejszą.

NA FRONT

Europa przysypana śniegiem, psy węszą zmierzch biały kurz wznosząc spod nóg.

Północne paruje morze — niżej ta cieńka smuga, to z naszego wagonu dym, z piecyka, na którym kurzy się świąteczna potrawa — dwa cukrowe buraki przywarte do rozpalonej blachy.

Pięciu nas skupionych czujnie w podróży na front — pięciu do walki ze stalowym barbarzyńcą.

Mknie wagonik — prując białawe światło nocy. Wiatr odnosi turkot rozstrzępiony na długie pasma.

Pięciu i pięć zwierząt chucha nam w schylone szyje.

Te gruzła pod chmurami to miasta. Omija je kręgiem bojowy nasz pociąg — podmuch dalekiej burzy.

He, he, kiełbasa, skwierczy przypalony cukier. Pali czoło opadłe na czerwony ruszt. Konie tupią i uszami strzyżą na sny ludzi.

Pięciu nas do walki z wrogiem czującej ludzkości. Karabiny telepią się na hakach. Mus.

I jak wschód borealnej zorzy pionowy blask przez szparę zakutego wagonu sunie po śniegu Europy.

NALOT NOCNY

Noc ciemna. Nocą kołysze w chmurach skrzydło nieprzyjacielskiej eskadry. W trwodze podrywane ku górze dachy domostw.

Młoda rodzina usnęła w cieniu spadającej bomby:

Czoło męża szlachetnie uniesione ku wrogim ciosom i pierś jego dźwigająca ciężar kobiecego śnienia — matki ramię wygięte wkrąg ponad oddechem dziecka — oto ludzkość w sekundzie znaczonej granicą czasu, oto pokój i prawość, narodowy przedsen już o mgnienie powieki bliski przebudzenia.

Ile tęsknoty w żarliwości żołnierza dźwigającego pocisk armatni — tyle ojczyzny spełnionej w zaplocie małżeńskiego snu — za chwilę rozdartego w cieple strzępy.

Tymczasem — na pole, na śnieg, miła ojczyzno, gdzie wzgórki zranionej ziemi zasklepiają się łatwiej od ciał, gdzie zamiast gorących uroków Jeruzalem otwiera się zimny raj dwóch szarzejących w bieli kolein, którymi sunie cicho ciężki czołg i rwie się w mrozie ostry śpiew zbrojnych.

DO MŁODEGO PARTYZANTA

Jak płonącą zapałkę nosi cię wojna od lat pięciu. Spać ci pozwala w rowach błotnistych, a zamiast rozmów platońskich (sermones), które przystoją twemu wiekowi, czytać ci daje w okrucieństwach własnej wyobraźni, gdzie mierzysz do zabitego już wroga dziwiąc się jego nieruchomości i gdzie własna twoja głowa oddawna nie chroniona pieszczotą matki odpryskuje od ciała utopiona we krwi.

Tymczasem pędzisz dalej — i pragnienie ciepłego ciała wydaje ci się tragicznym problemem istnienia, dla którego warto oddać rozsądek, jak dla ojczyzny życie.

Tymczasem — czy nie ma już miejsca na ziemi, gdzie by w cieniu licealnych platanów chłopcy podobni do ciebie odnajdywali jasne problemy matematyki?

Pada u boku serdeczny kolega i twoje faszystowskie serce szumi na trwogę.

WOJCIECH NATANSON

„Lidowa suita"

Wspomnienie z czeskiego teatru.

A. M. Swinarski zamieścił niedawno w „Odrodzeniu" interesujący artykuł o czeskim teatrze Emila Buriana. Jest to — i był już przed wojną — jeden z najbardziej interesujących i pomysłowych, najśmielszych teatrów w Europie. Teatr eksperymentów i awangardy, teatr nowych pomysłów. Swinarski nazwał go żartobliwie „teatrem przyszłego roku", gdyż nazwa teatru jest „antydatowana", dziś brzmi: „Teatr 1946", a w roku przyszłym brzmieć będzie „Divadlo 1947".

Dla czytelników „Wsi" będzie może interesującym fakt, że w roku 1938, w momencie dla Czechosłowacji przełomowym i tragicznym, ów najbardziej nowoczesny teatr czeski wystawił widowisko pt. „Lidowa suita". Byłem na tym przedstawieniu, zachęcony przez czeskich znajomych. Zdumiały mnie i zachwyciły rezultaty artystyczne tej współpracy *awangardowego* teatru z twórczością *ludową*. Osiągnięto owe rezultaty środkami zdumiewająco prostymi.

Do teatru „przyszłego roku" schodziło się wtedy po schodkach. Sala była niewielka, skromna, bardzo spokojna. Kurtyny nie było, przedstawienie obywało się niemal zupełnie bez dekoracji. Na tylnym planie stał rodzaj oświetlonego rusztowania; mieściła się tam niewielka — z kilku zaledwie złożona osób-orkiestra.

Uderza gong, światła na widowni gasną, zapalają się na scenie. Ale aktorzy nie wychodzą zza kulis. Zwartym szykiem, gęsiego. chóralnie śpiewając, suną od strony widowni. Na czele król, potem kanclerz, dwóch katów z mieczami, św. Dorota, Anioł; na końcu, przybrany w skóry niedźwiedzie — czart. Rytmicznym krokiem orszak ten przekracza salę, po schodkach wstępuje na scenę, okrąża ją kilkakrotnie, ciągle przytem śpiewając ludowe pieśni o św. Dorocie Męczennicy. Ten pochód śpiewny od widowni ku scenie posiadał — wolno przypuszczać — znaczenie teatralno - symboliczne. Wyrażał myśl, że misteria ludowe wyszły istotnie z ludu; że stworzyła je wyobraźnia widzów.

Ale wróćmy do widowiska. Zaczyna się staroczeska „Hra o svate Dorote". Król Africius proponuje św. Dorocie małżeństwo i władzę za cenę — wyrzeczenia się wiary. Święta nie chce zdradzić Chrystusa. Nie pomagają obietnice, ani groźby; wreszcie podburzony przez diabła król Africius wydaje na oporną wyrok śmierci. Ale po tej egzekucji, wierny dotychczas i lojalny wykonawca woli królewskiej, kanclerz Dufil odczuwa wyrzuty sumienia, smutek i żal. Składa swój urząd, rzuca królowi pod nogi insygnia władzy. Taka dymisja — to bunt. Africius (znów za podszeptem diabła) skazuje także i Dufila na karę śmierci. Po egzekucji kanclerz idzie do nieba, gdzie spotyka umiłowaną Dorotę. A król Africius zostaje sam — z katami.

Taka była treść ludowej sztuki, zaczerpniętej z uczniowskich misteriów średniowiecznych, ale głęboko przetworzonej i przepracowanej przez twórczość ludową. Teatr Buriana wystawił ten utwór w sposób interesujący. Z jednej strony chodziło o to, by jak najwierniej odtworzyć nastrój autentycznego przedstawienia ludowego: starano się nie niszczyć tego wzruszającego uroku, tego nieświadomego piękna, które zawiera folklor. Król Africius był rozkapryszonym, niegrzecznym chłopakiem, a zarazem czymś w rodzaju szopkowego Heroda; kanclerz Dufil miał smutną twarz dziecka, pogrążonego w krainie marzeń; Święta Dorota powtarzała refren swej pieśni coraz uporczywiej, heroiczniej, wytrwalej; urastała powoli do rozmiarów symbolu, jak Książę Niezłomny, czy Joanna d'Arc.

Ale równocześnie aktorzy czescy używali nawskroś nowoczesnych środków ekspresji aktorskiej. Stany duchowe, konflikty, wydarzenia wyrażane były przy pomocy ruchów pełnych malowniczości, harmonii i wymowy. Śpiew i taniec odgrywały tu rolę pierwszorzędną. Np. sceny egzekucji zaznaczono pomysłowym tańcem mieczów i rytmem stąpających butów. Publiczność czeska przyjmowała tę sztukę niezwykle gorąco; aktorzy byli wywoływani po 5, 6 i 10 razy. Wiele osób miało w oczach łzy wzruszenia.

Po pauzie — zupełnie inny styl gry i inne widowisko. „Saliczka", to jeden z tych pustych żartów, które dziewczęta układały sobie na Morawach w czasie zabaw, przypominających naszego „podkoziołka". Sztuczka jest nawskroś feministyczna; wszystkie role grają kobiety. Są to postaci: żony, starego zdradzonego męża i żołnierza - kochanka. Ale właściwym bohaterem była — służąca, owa właśnie „Saliczka", która imieniem swoim ochrzciła sztukę. Jest ruchliwa, zwinna, wszędobylska, sprytna i pełna energii, jak u Moliera czy Marivaux.

Trzecia sztuka tego widowiska, słowacki „Bachus", mniej już był interesujący. Ale równocześnie główny teatr praski „Narodne Divadlo" grał „ludowego Fredrę" (jak go nazywają Czesi) — Klicperę, a czescy poeci awangardowi wydawali ludowe poezje.

Przykłady wysoce znamienne.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Poezja wiejskiego krajobrazu i sielanki

(o wierszach Józefa Stachowskiego)

Atakując tradycje ziemiańskie w poezji opiewającej wieś, Jan Aleksander Król zahaczył o zagadnienie, nasuwające się przy lekturze wszelkich wsi tej chwalców. Chodzi o to, czy odczucie piękna wiejskiej przyrody i przefiltrowanie poetyckie obrazu wsi w ten sposób, że na boku pozostaną – trud, żal, gniew i boleść, a przezwycięży wszystko olśniewające porażenie blaskiem jej piękności, czy takie stanowisko, jest, może być, w pewnych wypadkach, postawą poety chłopskiego? Inaczej mówiąc i prościej: chłop, który orze ziemię, karmi bydło, wywozi gnój, na pole i „haruje" – może się zachwycać bez udziału tamtych, z pracy jego się wywodzących, tego zachwytu zamąceń? Pytanie to rodzi się w nas i domaga odpowiedzi, gdy przerzucamy stronice niewydanego zbioru poezji samym tytułem wskazującego na swą genezę – wierszy Józefa Stachowskiego, których przygotowany do druku tom nosi nazwę „Ku ziemi".

Kim był Józef Stachowski? Był, gdyż nie ma go już wśród nas, zginął tragicznie, równo rok temu, doczekawszy wyzwolenia tylko części naszej Ojczyzny. Był inteligentem, synem chłopa, wyjątkowo silnie z wsią związanym, choć związek to był więcej uczuciowo-poetycki niż programowy, wyrażony w pracy czy walce. Stachowski skończył gimnazjum w rodzinnym Garwolinie, polonistykę na warszawskim uniwersytecie, był nauczycielem w Warszawie, ale kontaktu z wsią nigdy nie zatracił, przebywał na niej po parę miesięcy w roku, biorąc udział w pracach rolnych swych braci, kilkohektarowych gospodarzy w garwolińskim.

Jako pisarz rozwijać się zaczął parę lat przed wojną w środowisku poetów.

Związek Stachowskiego z Czechowiczem był istotny, gdyż wypływał z podobnego podejścia do zagadnień poetyckich. Stachowski tak samo jak Czechowicz opierał swą poetykę na fantazjotwórstwie, u podłoża którego leżała postawa zachwytu, serdeczności i oddania rzeczom, które z pod ich pióra miały wyjść przemienione, oczyszczone i odrealnione. Zarówno metafora, której śmiałość Czechowicz przejmuje od poetów awangardy, jak melodyjność i rytmiczność, która cechuje wiersze obu poetów służą zadaniu stworzenia liryki urzekającej swą pięknością, choć może w piękności tej zawarta jest bardzo osobista prawda spojrzenia na rzeczywistość.

W roku 1939, przed samą wojną, Stachowski wydaje tom wierszy pt. „Jaworowa baśń", zawierający część młodzieńczych jego wierszy oraz utwory powstałe właśnie w okresie najbliższego obcowania z Czechowiczem.

Druga epoka twórczości Stachowskiego, epoka wojenna, której rezultatem jest bogaty zbiór utworów z lat 1939–1944 świadczy o wielkim ambitnym wysiłku poety, dążącego do wypracowania w sobie nowych, właściwych form wypowiedzenia się. Starcie się ze sobą dwóch rzeczy tak różnych jak świat fantastyki i baśni, w sferze której powstaje poezja Stachowskiego przed wojną, z grozą wydarzeń, jakie wstrząsają światem od chwili jej wybuchu, stawia poetę wobec konieczności rewizji założeń poetyckich. Zarówno z wierszy powstałych w tym czasie, jak z licznych wypowiedzi ich autora, wiemy, że zdawał on sobie z tego sprawę, że było to największą jego troską. Ujmował tę sprawę jako zagadnienie wprowadzenia człowieka do poezji. Tej sprawie właściwie poświęcił cały tom „Ku ziemi". Zlanie się poezji krajobrazu i sielanki z wizją tragicznego świata lat wojennych dokonywa się głęboko pod powierzchnią słów: przeżycia wojenne nie rodzą obrazu bezpośredniego, lecz przenikają w ukształtowany już styl poetycki Stachowskiego, który dopiero powoli i nieznacznie dzięki nim się przekształca i nabiera realności.

Marzeniem poety jest dojście do spokojnej, epickiej wizji świata, którą jednak osiągnąć pragnie bez rezygnacji z elementów fantastyki i zdobnictwa, które zbliżają jego twórczość do twórczości Czechowicza oraz Miłosza, Zagórskiego, dwóch poetów, z którymi po śmierci Czechowicza ma najbliższy kontakt literacki.

Tę wizję oraz wzór poetycki człowieka, takiego, jakiego pragnie przedstawić w swojej poezji odnajduje Stachowski w obrazie wsi, kraju, do którego wciąż powraca, któremu poświęca cykl wierszy pt. „Powrót", pełen chęci uwydatnienia związku z ziemią rodzinną i ludźmi, którzy ją zamieszkują. Dopracowania się form ostatecznych tych zamierzeń nie danym mu było niestety doczekać.

Śmierć Stachowskiego w pięć lat po śmierci Czechowicza sprawiła, że nagle znikła w nader ubogim obrazie naszej poezji powojennej jedna z jej form bardzo może odmiennych od tego, o co nawołują dzisiaj reformatorzy poezji w duchu realizmu, ale bardzo istotnych i charakterystycznych, zwłaszcza, jeśli chodzi o oddanie klimatu, towarzyszącego twórczości poetów wyrosłych ze środowiska chłopskiego i ze środowiskiem tym związanych. Nie ma w tym przypadku, że do Czechowicza lgnęli, prócz Stachowskiego także i inni pisarze wiejscy, jak choćby w początkach swej twórczości – Stanisław Piętak. Istnienie i kształtowanie się tego sposobu widzenia wsi, jaki spotykamy u Stachowskiego, a także np. u „autentysty" Ożoga i Frasika wskazuje na fakt, że postawa bliska tej, jaka cechowała niektóre sielskie liryki Jana z Czarnolasu (wyłączając oczywiście przejawy, związane wyraźnie z jego szlachecką przynależnością stanową) nie obca jest poetom wsi. Sielskość w znaczeniu ciepła uczuciowego, delikatności, może sentymentalnej dobroci są to produkty, jakie wytwarza atmosfera kół młodzieży w przeciwieństwie do brutalnej, często bandyckiej „kawalerki" wiejskiej. W rozwoju historycznym wsi trzeba umieć zrozumieć i docenić ten klimat. Ład, praworządność, obowiązkowość, to są wartości, które w młodym pokoleniu realizują się poprzez sentymentalne sprzyjanie, inaczej zatem, niż w Czechach np., gdzie czynnikiem spajającym bywa oświecone wyrachowanie, ale myśmy ani szkoły niemieckiego pedantyzmu nie przeszli, ani uprzemysłowienia wsi.

JÓZEF STACHOWSKI

Niedziela

Jak chłopcy zamyśleni nad albumem marek
śledzą barwy złotawe, zielone i modre
na mapach, odbywając dalekie podróże
przez rzeki — tam, gdzie żółwie drzemią pod oparem
mgieł, a rośli tubylcy w opaskach na biodrach
z ruin zburzonych grodów rwą czerwone róże,
tak ja, gdy mijam niegdyś widywane twarze
staram się los ich czytać jak czyta się z książki.
Idą młode kobiety w świergocącym swarze
jaskółek, co w powietrzu kreśląc ciemne prążki
dziergają chytre oka niewidzialnej sieci
nad jasnymi głowami, ciepły wiatr poranny
wydmuchuje pogodę jakby na organkach,
na liściach starej wierzby, potem w górę leci
by upaść znów w doliny i pasma rozwianych
włosów złożyć na gwiazkach pól, śnieżnych rumiankach,
aż wreszcie świat bezruchu staje w letniej bieli.
Każda z kobiet w liliowe dzwonki lekko dzwoni
i każda z sobą niesie jak to przy niedzieli
niby zamorskich ptaków puch, pęki piwonii,
Mężczyźni w ciemnych strojach, glansowanych butach
stawiają długie kroki sztywno jak bociany
za nimi drobi młodzież, jak muzyk po nutach
klawiszów, gdy chce dobyć radość z fortepianu
bo potrzeba wydążyć w biegu za ojcami.
Dokąd śpieszą? Czy pragną zdobywać niebiosa
wykute na sklepieniu niskiego kościoła,
gdzie święty Piotr otwiera posrebrzane bramy,
a anieli niebiescy w malowanych wozach
jadą obłoki wioząc na błękitnych kołach,
czy pragną prosić o coś? O już wiem, poznałem
z kosych spojrzeń, z zaciętych warg, upartych ramion...
wczoraj lżyli się wzajem, uniesieni szałem,
pijani, bezrozumni złorzecząc i kłamiąc,
a dzisiaj cisi tak jak biblijne jagnięta
idą razem po łaskę jak po zapach kwiatów,
by jutro znowu grzeszyć. Lecz Ty nie pamiętaj
im, o Panie, ukryty pośród aromatów
lip, gdzie na Boże Ciało, stawiano ołtarze
lśnią w zorzy rozchodników. Niechaj dobre moce
oddalą z kraju tego rozkosz zabijania
i niech pokornym pokoju wszystkim się ukaże,
sen krzepiący im ześlij w kainowe noce,
z drogi mlecznej spłyń ku nim w kryształowych saniach.

Wieś

Mali chłopcy lekko stopkami
szron strącali, co w sadzie kwitł,
opadała gołębia zamieć
biało jak świt.

W chatach złote płonęło drzewo,
Urzeczony fontanną skier
rudy kundel w milczeniu ziewał
pysk złożywszy na pierś.

O, jak bardzo pragnęła wieś
w ciszy nisko ku ziemi przypaść,
warkocz śniegu za oknem pleść
słuchać soków krążących w lipach.

Lecz z Zachodu wciąż pomruk szedł
i widziano krzyże ogniste.
Oszalały Łaba i Ren
aż je musiał zamawiać Chrystus.

Opadł Stwórca groźnie jak jastrząb,
twardą skałę szponami kuł,
powstawały zburzone miasta
nie ustał przecież ból.

Więc wybrali się chłopcy do Panny Śnieżnej,
co wśród skrzydeł motylich brodzi:
niech umilknie wrzawa oręża
dobry pokój niechaj rodzi.

MODLITWA

Poraź serce Ty, któryś Duch,
zwierząt stada znów w ludzi zamień
a nie pozwól by człowiek głuchł,
kiedy piękna skryje go namiot.

Marysi

Miłe są młode wilczęta
i mają sierść puszystą,
jakże ci teraz pamiętać
zieloną przystań.

Gwiazdy kąpały się w wodzie,
jak białe panny,
a księżyc za nimi chodził
w kwiatach dziewanny.

Gdy dotknąć dłonią jarzębin,
upadnie koral,
potoczy się krągła czerwień
w serce wieczoru.

Brzegi, niedobre brzegi,
znowu na jawie,
jak kule białego śniegu
błyszczy dmuchawiec.

W granatach lub w mocnej czerni
zastygły buki —
O, zniszcz tę nitkę, przerwij,
co w złote smugi.

Przypatrz się biednej wilczycy,
gdy prószy łzami,
przypatrz się, dobrze przypatrz,
nie daj się mamić.

Głosy pisarzy

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

Przemiany

Okres najwyższego rozkwitu piśmiennictwa polskiego — druga połowa XIX stulecia — jest zarazem okresem początku życia umysłowego warstwy chłopskiej. Sprzyjał temu cały szereg czynników. Wyraźne powstanie w Polsce dużych ośrodków miejskich i narastanie świadomości warstwy robotniczej, rekrutującej się przeważnie ze wsi. Warstwa ta utrzymuje z miejscem pochodzenia kontakt rodzinny, a sama podlega tym wielkim ruchom społecznym, jakie wówczas mają miejsce: socjalizmowi. Do tego dochodzi stosunkowo duża powszechność taniej gazety popularnej. Następnie ma pewne swoje znaczenie akcja filantropijna jednostek, typu bohaterów Żeromskiego: „schodzenie w lud". Wreszcie — szkoły takie, jakie były w owych czasach, cokolwiek powszechniejsze.

Po pierwszej wojnie światowej państwo polskie i stosunkowo duża w porównaniu z ubiegłymi stuleciami demokratyzacja życia wewnętrznego kraju styka masowo ludzi wiejskich ze szkołą powszechną, średnią i wyższą. Jako skutek tego w każdą dziedzinę życia społeczeństwa wchodzą synowie wsi: inżynierowie, lekarze, prawnicy, nauczyciele, i również w dziedzinę literatury: pisarze. Rzecz tylko w tym, czy to dużo czy mało. Jest to zależne od stanowiska, z którego będziemy oceniać. Jeśli weźmiemy liczbowo masę chłopską i jej możliwości — bezwzględnie mało. Jeśli natomiast uwzględnimy krótkość oddziaływania kulturalnego na wieś — dwadzieścia kilka lat—ów skok przez pokolenia jest w tej perspektywie nie mały. Dziad zupełny analfabeta, ojciec półanalfabeta lub samouk, syn wychowanek szkoły polskiej sięga po laury pisarza narodowego. Uderzający jest ten awans. Jest to naturalne ujście sił twórczych warstwy społecznej, która przez wieki żyła w uśpieniu i wrodzone czynniki duchowe przekazywała potomnym w stanie utajonym.

***

Literatura polska dawniejsza jest literaturą szlachecko - mieszczańską. Nie mówimy tego w formie zarzutu — stwierdzamy fakt nieobalony. Tworzyli ją ludzie wywodzący się osobowo z tych warstw uprzywilejowanych lub zasymilowani z tymi warstwami. Nie mówiąc o tematyce dworu i ganeczku z dzikim winem. Była to polska literatura stanowa stanu mniejszego liczebnie, któremu układ prawno - majątkowy gwarantował dostęp do źródeł i dobrodziejstw nauki.

Ruchy społeczne i polityczne starły granice stanów. Dziś stanów nie ma. Są tylko środowiska: miejskie i wiejskie. Dzisiaj pisarze chłopscy łączą w sobie z jednej strony żywioł wsi nadany przez urodzenie i wychowanie w młodych latach i żywioł miasta wchłonięty przez ciąg czasu przebywania w szkole. Jeden lub drugi czynnik w różnym występują nasileniu, ale odzywa się tak wyraźnie w każdym, że nie sposób go zignorować.

List do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę Panu donieść o losie mojej powieści „Diabeł w Anielowie", przyjętej przez Pana do druku i częściowo wydrukowanej w tygodniku „Chłopi".

Te pięć odcinków zrobiły to, że duża szwedzka firma (Sztokholm) zwróciła się do mnie za pośrednictwem swego agenta w Warszawie z propozycją wydania po szwedzku całej powieści (2 tomy) w 20 tys. egzemplarzach. Proszę przyjąć moje zapewnienie, że sukces ten będzie naszym wspólnym sukcesem.

Obecnie posyłam Panu fragment drugiej powieści pt.: „Ghetto i las". Mam też zamiar przysłać dla „Wsi" krótki fragment „Diabła w Anielowie", oczywiście nowy, niedrukowany w „Chłopach".

Zawsze przyjazny

(—) **A. Junosza - Gzowski.**

„Hej kolęda, kolęda..."

Wyszła z druku broszura pt. „Hej, kolęda, kolęda", opracowana przez Piotra Greniuka i Mariana Mikutę, zawierająca inscenizacje, kolędy i wiersze na obchody bożenarodzeniowe. Broszurę tę, w cenie 30 zł za egzemplarz (z przesyłką 40), nabywać można w Wydziale Oświaty Rolniczej Wojew. Urzędu Ziem. w Łodzi, ul. Traugutta 14. Należność wpłacać na konto PKO w Łodzi nr 801. Przy zakupie większej ilości egzemplarzy udzielana jest zniżka.

JÓZEF POGAN

Niebieski dekret

Legenda o reformie rolnej

Zamiast wstępu

Halemba, dn. 17.12. 1945 r.

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Przygotowując się do zawodu pisarskiego, chciałem zbadać wszystkie dziedziny życia wiejskiego i w tym właśnie celu, w r. 1944 przyjąłem służbę stróża nocnego w majątku Stefana Skrzyńskiego (syn b. ministra) w Więckowicach pod Krakowem, gdzie przebyłem kilka miesięcy.

Z nagromadzonych tam obserwacyj napisałem legendarną nowelę, którą w załączeniu przesyłam. Pragnę, by ta nowela jak najprędzej ukazała się we „Wsi“, bo jest ona nie tylko odzwierciadleniem krzywd wiejskiej biedoty, ale i pewnym przypieczętowaniem zrealizowanych chłopskich postulatów.

JÓZEF POGAN

* * *

We wsi niedaleko kościoła był bogaty dwór. Nolezało do nigo więcy, niz połowa cały przestrzyni wiejski, bo pięćset morgów urodzajny ziemi, sto morgów łąki i trzysta lasu. Wokoło zabudowań dworskch oprowadzony był mur, a nad nim ogromne lipy i kasztany zasłaniały ode wsi nietylko nędzne cworoki, ale i pański pałac.

Wiejsko biedota, a nawet i bogatsi gospodorze zozdrosnym okiem na te bogastwa spoglądali i stale na niesprawiedliwość światowo narzykali. Służba dworsko, bezrolni i małorolni biedoki zawdy coś z tego bogastwa pokryjomu uskubnęli: tyn ścion patyka w lesie, tamtyn zaś ukrzesoł se choiny na świerku, inny znou ugrabił se brzemiącko liścio, jesce ktoś uzbieroł chróstu. itd.

Rządca. praktykant, karbowy, polowy, gajowy i stróz nocny pilnowali dobytku pana, i często donosili mu o krodzieży, choć prowde pedzieć, to i oni tyz mieli smołe w rękach.

Dziedzic zył z proboszczym w wielgi przyjaźni i zawdy sie nawzajem odwiedzali: roz gościł dziedzic księdza, drugi roz ksiądz dziedzica i zawdy se przy winie, likierak i smacnyk ciostkak o swoik „bolączkak zyciowyk“ opowiadali. Dziedzic ubolywoł na niscącyk go ludzi, co to nie sanujo cudzy własności, a ksiądz na grzysne duse parafian. Więc tyz od casu do casu napomnioł z ambony o ty krodzieży dworskigo mienio. Juźci nie wypominoł, kto to robi i kumu, ale dawoł do tego tak wyraźne przytyki, ze nawet głupi domyśloł się o co chodzi. A krzycoł głośno i potępioł grzyśników nie przestrzegających siódmygo przykozanio. Dziedzic siedzioł zawdy w kościele we fotelu z boku ołtorza i jednym okiem zerkoł pogardliwie na biedno, podło hołote.

Bogatsi ludzie spoglądali wtedy na fornali i biedoków z pewną wyzszością, bo wiedzieli, ze to ksiądz o nik prawi kozanie. Gospodarze nie tyle mieli lo nik pogarde za krodzież, ile ik ponizali za to, ze muso kraś choćby nie kcieli, bo są biedokami, a nawet dziadami.

Oskarżenia biedoków o krodzież i ik prośby o przebocynie grzychów bez przerwy ulatowały do Boga. ze On nie wiedzioł kumu wierzyć. Postanowił więc zbadać te sprawe dokumentnie i na wieki rozstrzygnąć. Woło więc przed siebie św. Izydora i godo mu: — Słuchaj, byłeś na ziemi rolnikiem, znas wieś i dwór na wylot. Deleguje cie przeto jako inspektora do dworu, byś sie przekonał naocnie jak sie ta sprawa faktycnie przedstawio. Pobędzies tam całe lato. Obserwuj wszyćkie krzywdy wyrządzane służbie dworski, robotnikom i skody dziedzicowi i badaj przycyny krodzeży. Zaglądaj zawdy do cworoków, do stodół, do stajen, wychodź w pole do robotników, do lasu i wszędy. Wszyćko co spostrzezes zapisuj do księgi, a jak wrócis do nieba, to mi te sprawe przedłozys. Co do Twoi Osoby — daje Ci swobode: mozes bąś duchym niewidzialnym, mozes tyz przemieniaś sie w ziemskiego cłowieka.

Tego jesce dnia św. Izydor zloz z nieba na ziemie. Była prawie szósto godzina rano jak wsed za brame na dworskie podworze. Fornale akurat wyjezdzali w pole orać, bo to był początek kwietnia. Święty przyźroł im sie, porachowoł konie i posed przed pałac dziedzica, tam se usiod w gonku w miękuśkiem fotelu i ozglądo sie wokoło. Spodobało mu sie bardzo i pomyśloł se, ze tu nawet nie gorzy mu bedzie jak w niebie. Zadumoł sie głęboko nad tym, ze to niktórzy ludzie tyz majo raj na ziemi. Zapragnył najpierw poznać dziedzica, ale on jesce spał. Więc pospacyrował se po ogrodzie, a następnie wyżroł za stodoły. Tam robotnicy wybierali z kopców. Święty usiad se na boku i obserwuje. Nad pracującymi ludziami stoi karbowy z lagą. Dysc ciapie ze śniegiem, zimnisko a ludziska kuso skulone kole kopców i zdrętwiałymi rękami wybierajo zimnioki.

Św. Izydor wrócił przed pałac. Ale dziedzic jesce społ. Dopiero po dziewiąty godzinie wysed do ogrodu. Przed nim leciało trzek jamników i dwók innyk małyk piesków, więc domyśloł sie, ze to dziedzic, więc przemienił sie w chłopa, ukłonił mu sie nizko i prosi o coś. Ale dziedzic odrzek, ze teroz wyjezdzo kaś i kozoł mu przyiś późni. Więc Święty wrócił nazod do robotników przy kopcak. Obserwowoł ik do południa, bo sie kcioł przekonać, cy bedo brać zimnioki jak pódo na obiod.

O dwunosty godzinie słychać zwonek i karbowy woło: „obiod“! Robotnicy ozchodzo sie pśpiesnie, ale karbwy zatrzymuje ik, wywijo lagą i kazuje wysypać z kosyków zimnioki, co se niktórzy na dnie po trosku poostawiali. Tymu i owymu wysypoł, przyłoił po grzbiecie, ale niktórym udało sie umknąć.

Święty myśli se: — Kradno, ale kto wie, jakie tu są tego pobudki? Trza to zbadać. Zapamiętoł se kazdygo i chodzi od chałupy do chałupy. Wsed do jedny — tam matka godo do córki: — Ni mogłaś to więcy przynieś?... Przecie widzis, ze juz ni momy co jeś, a o sadzyniu to skoda godać... Grzychu sie nie bój, bo przecie ani połowy tego dziedzic ci nie płaci, co po sprawiedliwości zarobis... Ledwie, ze na jołowe jodło zarobis, a kaz smaty, co zedrzes przy robocie?...

— Nic dziwnego — myśli se święty — bo jak dziedzic kiepsko płaci, to se dzioucha wziena za to paru zimnioków. — Zapisoł se to w rubryce „zmusono krodzież“, a dziedzica „krzywdziciel“, posed do insy chałupy i słysy jak matka swarzy na syna: — Cymuześ nie przyniós choć w kiesyni poru zimnioków, hy?!

— Jo se nawet w kosyku ostawił troche, ale mi karbowy odbił... Wyście zawdy chytrzy i kazujecie mi brać, zeby późni ksądz o mnie godoł... Juz ani roz nie bede broł...

Św. Izydor zapisoł se to „zmusono krodzież“, a dziedzica — jak przodzi. W trzeci chacie, w cworty — to samo. Jedni ino mieli troche swoigo zbozo i zimnioków, bo mieli trzy morgi pola i chowali se prosiątko. Św. zapisoł ik w rubryce „krodzież od biedy“. Zaźroł tyz do cworoków, bo przecie fornale mieli ornaryjo, to nie powinni kazować kraś dzieciom. Tam babsko labiedzi: — Boże, cało zime jodalimy ino po dwa razy na dziń, zeby co zaoscędzić chłopisku na ubranie, bo juz ostatnie strzępy z nigo leco, a tu my wszyćko zjedli i jesce braknie ty krwawo zapracowany ornaryje! W cym tyz, to chłopisko, bedzie chodziło, w cym?!... Świeta nadchodzo... lato, a on kieby strach w konopiak!... I nie bedo się gospodorze śmiać z fornali?!... Psu nie zycyć fornalskiego chleba!... Musis, cłeku, przykrodać po zimniocku i po kłósecku, zebyś wyzył!...

U innyk fornali to samo. Św. Izydor wszyćkim zapisoł „zmusono krodzież“, a dziedzica — „gnębiciel“. Wrócił nazod przed stajnio. Fornale zaprzągali juz konie. Dziedzic akurat nadjechoł. Wszyscy mu sie kłaniajo niziutko i pozdrowiajo: — „dzień dobry, jaśnie panu“. Kto był blizy nigo, podchodził na paluskak i całował go w ręke. Św. przemienił sie w chłopa, pozdrowił go i prosi o coś. Ale dziedzic kozoł mu jesce zacekać.

Wiecorym św. Izydor usiod se na ławce przed stajnią i obserwuje. Dziedzic spaceruje se z dziedzicką po ogrodzie, rządca poli cygara i pusco dymy, a fornale i reśta służby krzątajo sie kole koni, bydła i świń do dziewiąty godziny. Św. przypatrowoł sie pilnie, cy kto cego nie porwie. Zauwozył jak jedyn fornol w casie zadawanio koniom obroku wzion se troske owsa do kiesyni, drugi kłapeć siana i pośli do domu, a św. Izydor za nimi sprowdzić, cy im to było koniecnie potrzebne. Owies wzion se tak blady fornol lo kur, bo chowoł dwie, zeby mioł casym zjeś jojko bo był chorowity i ni móg łazić za koniami; drugi wzion se kłapeć siana lo królików. Tymu chorowitymu św. zapisoł zaroz „zmusono krodzież“, ale z tym drugim nie wiedzioł co zrobić, ze mu sie to miesa zakciewało. Dopiero jak uźroł, ze cało rodzina je na wiecerzo jałowiuśki zur — mochnył ręką i tyz zapisoł: „zmusono krodzież“, a dziedzica — „gnębiciel“.

Przysed nazad przed stajnio i usiod se na ławce przy tyk fornalak, co sie jesce nie poozchodzili. Jedyn septoł coś do stróza nocnygo, a on przykiwowoł głową i odpedział po cichu: — Dobrze. O piersy po północku.

Świętymu przechodzi przez głowę, do jakigo rabunku oni sie namówiajo? Więc pilnuje stróza i ceko co to bedzie o ty piersy godzinie? Ciemno było, ze ino w ślypie żgać, ale stróz nie pyto, ino łazi wszędy. Jak sie ino co kaj smyrnie — juz stróz tam lezie i oświeco bateryjką. Ktoś gruchnył kamieniem do nik, jaz sie święty troche zdryg. Stróz nie zwazo na nic ino pilnuje, zeby se nie stracił służby. Ciurcoł tyz co chwila przed oknym rządcy, bo tak widać mioł przykozano.

Dochodzi pierso po pónocku i ktoś puko do bramy. Stróz spytoł sie „Kto ta“?, poznoł po głosie i otworzył brame. Wsed tyn fornal co sie z nim umówioł, doł mu packe machorki i pośli oba między stodoły. Św. za nimi. Tam z jakichś rupieci wyciągli deske, fornal wzion jo na ramie i posed. Św. sie dziwi, na co mu ta spruchniołka potrzebno i idzie za nim do jego chałupy. Tam na słomie na izbie śpi baba fornola z dzieckiem, bo jedno łózko popsute. Na drugim śpi troje dzieci. Chłopina bierze piłe, siekierke, gwoździe, budzi babe i przy jej pumocy naprawio łózko.

— Aha, to ci na to, nieboraku, potrzebno była ta deska — pomyśloł se święty i zapisoł to „zmusono krodzież“, a stróza — „krodzież z biedy“. Poozglądoł sie po izbie: brud... nędza... jaz kwicy — — — Po murowanyk ścianak spływajo strugi wilgoci. Święty mioł ochote zackać troche, by uźryć jak łózko naprawione tą spruchniołką bedzie wyglądać, ale mu w nosie zawierciało i pocuł, ze go moze katar chycić od ty wilgoci i smrodu, więc posed nazod do podwórza dworskigo. Było w som roz pó do trzeci po pónocku. Dziewki biero widły, nose i wyrzucajo gnój ze stajni. Mocne ścierwy były i moze kaj po ćwierci fury brały na nose i wynosiły na gnojownie. Było ik śtyty, a piąty skotok co sipioł w stajni i tyz im pomogoł. Po wyrzucyniu gnoju zadały krowom jeś i zaroz je myły.

Św. Izydor kcioł zackać na dojenie, ale za dwadzieścia minut po trzeci słychać zwonek. Tó stróz nocny budził fornali. Więc święty posed przed końsko stojnio. Od bramy juz słychać kaszlącyk fornali: — khu! khu! khu! Poprzychodzili i pojo konie, a potym je cysco. „Khu! khu! khu! — ożlygo sie po stajni głośnym kaszlaniem. Ostry kurz z brudów na koński sierci gryzie w ocy, wcisko sie do gardła, i do płuc, a fornole cysco i kaszlo. Jedyn Siwek bardzo sie ubabroł, więc fornol wyprowadził go do stawu, zawinył se portki za kolana, rękawy za łokcie, zrobił wiecheć ze słomy, wloz do zimny wody, dygoce i myje koniowi cały zadek.

Codziennie badoł rózne zakamarki dworskigo życio i ludzkie przewinienia skrupulatne notowoł. A nojbardzi to juz obserwowoł od połwy cyrwca do listopada, bo w tym okresie nojwięcy było co kraś we dworze: kopki siana na łące, owoc w ogrodzie, zboze w polu, zimnioki, buroki, marchew i różne jarzyny.

Siana zginyła któroś kopka przy drodze. Święty skontrolowoł domy złodziei i przekonoł sie, ze ta krodzież nie była z musu, ino od biedy i troche od zodrości, ze to jedyn pon mo więcy majątku, niz dwieście rodzin chłopskik.

We zniwą dopiero święty naprzyglądoł sie wszyćkiemu: zniwiarki trajkoco, święco kosy, dziewki odbierajo za kosiorzami, wiązo, stawiajo... Wszyćkik dozoruje praktykant, casym i rządca, klno, popędzajo ludzi, dziedzic jeździ na koniu, polowy łazi wszędy, wywijo lagą i wyklino na złodziei, co kłósie po ściernì zbierajo.

Św. Izydorowi bardzo sie to nie spodobało, ze to na ty święty ziemi zamiast bąś „modlitwa i praca“ — jes „przekleństwo i praca“. Więc z ciekawości posed zaźryć na chłopskie pole. Tam se chłop siece, baba odbiero za nim... Spokojnie, cichuśko, tyle ino, co kosa święcy, abo se chłop stęknie casym jak trafi na silniejse zboze. Chwilami se odpychno, spoźro na słonko, dziękujo Bogu za pogode i dobry urodzoj, albo se tyz gwarzo o swoi biedzie.

Św. pobłogosławił te cicho proce chłopa i wrócił nazod na dworskie pole, tam pod las i przyglądo sie starym babskom i dzieciom, co kłósie po pszynicysku zbierali.

— Zosiu, uwijojmy sie, póki polowy nie nadydzie — godo jedna staruska do mały dziouski.

— Dyć jo sie uwijom jak moge!... Cie wy, jo juz mom trzy kiście!

— A mocie co swoi pszynice?

— E, kaz to momy... Kawołecek ino zyta... Uciesy sie tyz mamusia z tego kłósio, uciesy... Zaroz je otłuce kijonką i ugotuje jutro na śniodanie klusków... Oj, pojem se tyz, pojem, mój Bozycku!...

— A mocie mlyko do klusków?

— Juźci momy i duza, bo nasa koza takie mo wymie, jaz jej sie po kolanak obijo.

— A moja, ścierwa, to mało cegosik daje mlyka — narzyko staruska. — Juźci ni mo kto popaś jak u wos.

Święty pokiwoł se głową nad tymi biedokami i ani ik w księdze nie notowoł o to kłósie.

O roz na pagórku zjawił sie rządca z psym. Baby i dzieci uciekajo, a rządca mruknył do psa: „Hera, na chamskie ścierwo“! Wilcyca skocyła na te baby i dzieci... Powstoł pisk... wrzask...

Nadjechoł dziedzic na koniu, a rządca kwoli sie przed nim jak to wytresowoł suke, ze jak jej ino powie: „Hera. na chamskie ścierwo“ — ona juz wie kogo mo gonić i kąso jak wściekło. Dziedzic uśmiechnył sie, pokwolył rządce i wyrzek po łacine: — „Tu es anima vilis, sed mihi es bonus“. Święty przysłuchiwoł sie im i obu zapisoł w księdze: „dręczyciele“.

Jednygo razu św. Izydor zaobserwowoł coś niezwykłygo: toli jakiś chłopina ukrzesał se troche choiny na świerku. Prawie sie zabieroł odyjś, — a tu nadjezdzo rządca. Chłop zacon uciekać, ale rządca poscul go psym, złapoł, zbił, skopoł butami i zagnoł do dworu, a dziedzic odesłoł go na posterunek do policyi.

Św. Izydor dowiedzioł sie, kaj miesko baba tego oskarżonygo chłopa i posed tam na zbadanie. Tam po prostu nędzą śmierdziało, a tą choiną kcioł se biedok zagrodzić dziure w sópie, zeby mioł kaj rąbać patyki w zimie, cy jako rzec połozyć, bo stodoły ani komórki ni mioł przy chałupie. Więc święty zapisoł to okrzesanie świerka: „zmusono krodzież“.

Ale zbicie i oddanie do policyi tego biedoka — to jesce nie wszyćko. Toli zaroz w niedziele ksiądz głosi z ambony, ze we wsi są tacy ludzie, co nawet „rośliny z szat obdzierajo“. Godoł, ze to jes „jakoś rozmyślno zemsta“.

Św. Izydorowi wystarcyło tyk obserwacyj we dworze. Zbadoł wszyćko co nalezało, pozapisowoł se dokładnie i z grubą księgą wrócił do nieba. Pan Bóg go zaroz pyto, co zbadoł we dworze? Święty ozłozył przed Nim zapisano księge protokołów i odpowiado: — Cytaj, Panie Boze.

Pan Bóg przecytoł, zadumoł sie i wyrzek: — Heu! magnum perfidium pastoris dulcis vita domini et mare lacrimarum miseri populi! Ni ma insy rady, ino trza zmienić tyn stary porządek na ziemi! Tak dali być ni moze!

Zawołoł więc Swygo sekretorza i rozkazuje mu: — Pis dekret o reformie rolny!

Gdy juz dekret był gotowy, Pan Bóg dodoł: — Post scriptum. „Księzom zakazuje ujmować sie za magnatami i przeciwko Mej Woli występować!

— Amen — dokończyli: Niebieski Sekretorz i Św. Izydor.

NUMER 21 „WSI“ ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król: Gawęda wigilijna pisarza, **Wilhelm Szewczyk:** Pastorałka maluczkich, **Kajetan Sawczuk:** Odrodźmy się w duchu **Michał Łazorczyk:** Kolenda czytelników „Zarania“, **Zygmunt Kałużyński:** „Pastorałka“ pod okupacją, Anegdota podana przez dr **J. Spytkowskiego:** „Jak chłop jaśnie pana wykiwał“, **Józef Czechowicz:** Wigilia, Ze wsi, **Józef Ozga-Michalski:** Narodziny cielęcia, **Jan Baranowicz:** Pieśń o żołnierzu nieznanym **Paweł Kubisz:** Krew z żył wyciekła, **Józef Andrzej Frasik:** Młodość córki ros, **Jan Bolesław Ożóg:** Lesiarka, **Władysław Milczarek:** „Mroźne kwiaty, Fryderyk Mistral : „Mirejo“ w przekładzie Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego, **Władysław Dunarowski:** U chrzestnego, **Piotr Ziarnik:** Świt, **Edward Marzec:** Nim się dzień zacznie, **Stanisław Piętak:** Zwykła historia, Wiejscy czytelnicy, **Janina Sobieszek:** Ewka i Teresa, **Jan Baranowicz:** Wieś **Stefan Lichański:** Wilhelm Szewczyk — epik Śląska, **ponadto** „Audycje „Twórczości Chłopskiej“ i „W roku 1945 we „Wsi“ pisali“.

JAN WIKTOR

Zagadnienie literatury chłopskiej

Zagadnienie literatury chłopskiej nie schodzi z łamów pism od pierwszego dnia wyzwolenia z pod okupacji niemieckiej. Nic dziwnego. Wszyscy sobie zdają sprawę, że jest to zagadnienie niezmiernej wagi. Tu idzie bowiem o sprawę dla wsi, o kształtowanie duszy, o pomnożenie bogactw najżywotniejszych dla narodu. Wieś jest współtwórcą historii, potęgi i przyszłości.

Jest dążenie do nowego tonu, do nowej poezji, która jest zaprzeczeniem łzawości i fujarkowatości. Słowiki tak uwielbiane już ochrypły i poginęły, życie roztrzaskało fujarki, na jakich wygrywał pastuszek pod spróchniałą wierzbą swoje sentymentalne melodie.

Czytelnik dzisiejszy czeka na głos mocny, stalowy, sięgający do głębin. Czytelnik wiejski czeka na pisarza, który będzie budzicielem, wychowawca, który tchnie siły w czytelnika, rozniecl pragnienie i porywy, który będzie uczył, który będzie wciąż wskazywał wzniosły cel — przez wielkość wsi do wielkości Polski.

Współczesne życie, z ogromem swych zagadnień, rozwala wieże z kości słoniowej, w jakich poeta tak długo się ukrywał, wyrzuca go z nich, zmusza do uczestniczenia w pracach społecznych, w służbie dla skrzywdzonych, żyjących dotychczas w sromocie, hańbie, uciemiężeniu, budujących nowy porządek świata, opierający się na miłości, prawdzie, sprawiedliwości. Życie zmusza też do tego, że poeta zmienia swoje pióro w miecz płomienisty, w żylastą pięść, w młot, kilof, druzgotający zło i niesprawiedliwość

Dzieło pisarza musi mieć krzepkość czynu.

Lata okupacji, ogrom nieszczęść spadających na naród, muszą odmienić duszę pisarza. Dotychczas poezja jeszcze nie zrozumiała swej roli, dotychczas jeszcze poezja nie jest obrazem czasów, przełomów, porywów dzisiejszego pokolenia. Jeszcze jest jak zaklęte senne jezioro. Przeszły burzę wstrząsające światem, rozgorzały pożary, uderzały w Polskę gromy i w toni tego zaklętego jeziora nie zostawiły śladu a przeminęły na kształt obłoków płynących po niebie w pożodze wschodów i zachodów. Literatura nie odzwierciedliła dramatyczności czasów, tragizmu narodu, nie jest wyrazicielką wielkich tęsknot, pragnień i dążeń.

W czasie okupacji tak często rozlegała się sentymentalna nuta zapożyczona z przeszłości, jakby naokoło grzmotu, zwiastującego świt nowego dnia — owinęła się melodyjka słowika, lub dźwięk fujarki, zrobionej z piszczela podjętego z powstańczego grobu 1863 roku.

Trzeba wciąż stwierdzać, że byliśmy świadkami, a także współtwórcami przełomowych zdarzeń, że na przestrzeni ostatnich lat zaczyna się nowy okres dziejów, że historia Polski, jak patyk, została brutalnie na kolanie okrutnych czasów przełamana.

Od roku 1939 patrzyliśmy na najpotworniejsze rzeczy, na pohańbienie człowieczeństwa, byliśmy świadkami obrazów, odbierających rozum, wyżerających oczy. I czyż można o tym zapomnieć? czyż te obrazy i przeżycia można zasłonić kadzilnianym dymem, płatkami jaśminów rosnących na cmentarzach, czy też promieniami dalekich niedosięgłych gwiazd?

Łuna, unosząca się nad obozami, nad krematoriami, ta czerwień spalonych skazańców długo będzie trwać na firmamencie Polski i nie zastygnie, nie spopieleje, nicością się nie stanie, bo ona jest żywą krwią, wybroczoną z ran najlepszych synów i braci.

Kiedyś, w czasie okupacji, pisałem, że wśród huku gromów, burzących świat, wśród płaczu zrozpaczonych, żywcem spalonych, gdzie zgorzeliska są stertami ludzkich kości — poeta lubi się wsłuchiwać w romantyczny śpiew i nastraja swoją zbolałą lutnię na wzruszające nuty. Taka poezja roztkliwia, a wszelkie roztkliwianie niszczy wolę, rozkłada siły, rozłamuje hart, niweczy charaktery a nie kształtuje człowieka o woli czynu. Czujemy się najszczęśliwszymi, gdy mamy więzy na rękach, gdyż możemy je targać i śpiewać pieśni o bohaterstwie w cierpieniu, o męczeństwie, maczając słowa w ranach, ażby się każde zapurpurzyło, rozgrzało i zajękło. Czy te ciągłe szamotanie niewolnika zdeptanego, poniewieranego, wzgardzonego są cechą twórczego narodu? Czy zadaniem narodu żywotnego jest ciągłe ukazywanie się w łachmanach nędzarza cierpiącego i ujawnianie zgniłych ran, aby litość budzić?

Pragniemy poezji, wyrabiającej w nas dynamizm, niezłomność. Jękliwy, rozpłakany ton naszej literatury zmienić w zdecydowaną wolę i moc. Przestańmy wypłakiwać gorzkie żale wlokąc się na klęczkach po drogach krzyżowych, przestańmy uwielbiać w płaczu korony cierniowe, wtłaczając je na czoła i serca własnymi rękami — aby wołać — jesteśmy męczennikami za naród, za ludzkość.

Chwytajmy młoty i walmy w rzeczywistość, przekuwajmy ją, nadajmy życiu nowy kształt z myślą o człowieku tworzącym i chcącym się ratować życiem. Musimy maszerować wielkimi krokami, deptając wszystko co było złem, krzywdą, symbolem bezprawia, narzędzi niewoli. A w tej pracy pisarz nie może być niczyim sługusem, ale musi być tylko służebnikiem narodu, jego najświętszych praw, jego najgórniejszych zadań i porywów ucieleśnionych w czynie dla człowieka nieszczęśliwego.

Życie wypełniać pięknem poezji, służyć człowiekowi i nieść mu radość.

Często na uniwersytetach chłopskich przed wojną i na kursach spółdzielczych w czasie okupacji zadawałem uczestnikom pytania, jaka powinna być literatura, jakie jej zadanie, jakim powinien być bohater powieści.

I niemal jednogłośnie żądano książki twórczej, budzicielskiej, niemal wszystkich ożywiała tęsknota do bohatera mocnego, pełnego radości w działaniu, który by dążył przez przełamywanie przeszkód do zwycięstwa, do przetwarzania duszy czytelnika i wydobywania z niej najpiękniejszych pierwiastków.

Poezja polska swojem wszechmiłosiernym sercem wcześnie usłyszała świst ekonomskiego bata, zobaczyła sińce i pręgi od tych uderzeń, poczuła ogień palący nagi grzbiet wyrobnika, bandosa w czasie żniwa, pot, zalewający mu oczy, roztkliwiła się nad dolą pańszczyźnianego najemnika, poskarżyła się nawet na słonko okrutne, świecące bez końca i zlewające spiekotę, usiłowała odtrącić chłoszczącą rękę, zakryć czującym słowem bite plecy. Poezja umiłowała pastucha skurczonego na miedzy w jesiennej szarudze, bosego, obdartego, głodnego, otulonego workiem i śpiewającego zziębniętymi wargami — oj dyna — oj dyna — i spoglądającego w bezkres nędzy i smutku, nie znającego kresu, ale poezja dotychczas jeszcze nie zobaczyła chłopa jako współtwórcy dziejów Polskich, własnej doli i narodu zasłużonego pracownika. Poezja zobaczyła i umiłowała swoją tkliwością, swoim bólem, rozpaczą i udręką nędzarza, ale nie dostrzegła mocarza wyrastającego powoli z trudu, mozołu, potu, wygrzebującego się własną siłą z kamiennej doli. współczuła, ale nie pobudzała do działanie, rozrzewniała, wyciskała łzy, ale nie wskazywała zbawczych dróg, nie wybiegała przed człowiekiem, aby mu głosić początek nowego życia, wzniecała ogień zżerający duszę, ale nie żywiła, nie tchnęła wiary we własne siły, mówiła o wzlotach, ale nie była skrzydłami, modliła się do młotów, ale sama nie była miażdżącym uderzeniem.

Któż spojrzał na drogę, przebytą przez tamtego chłopa, jakim go widział Staszyc? Któż zbadał i opisał koleje jego życia, przebudzenia, odrodzenia, od chwili, gdy wydzierał się z ciemnoty, uciemiężenia, zaniedbania, jak rozwijał swoje przyrodzone zdolności, wcielał je w czyny i parł wciąż naprzód.

Poezja musi zobaczyć i związać się z olbrzymiemi dziedzinami odradzającej się wsi. Każdy z nas musi się przyzwyczaić do rozprzestrzeniania duszy ludu, gdyż ono jest rozszerzeniem potęgi Polski, jej mocy, jej bogactwa, jej twórczości. Wszyscy jesteśmy świadomi roli, jaką wieś musi odegrać. Dojrzałość polityczna chłopa, zespolona ze świadomością narodową, daje wspaniałe dowody miłości Ojczyzny, poświęcenia, bohaterstwa, godnego stanąć obok czynów chłopa Zbroji z czasów Kazimierza Wielkiego, Wielocha, rzucającego głownie pod twierdzę Wielkie Łuki, wypełniającego wolę króla Batorego, czy też legendarnego Michałka, szarpiącego wojska szwedzkie i szaleństwem czynów budzącego podziw u wrogów. Przez lata okupacji patrzyliśmy na udręczoną, podeptaną, mordowaną, paloną wieś i widzieliśmy budzące podziw objawy uspołecznienia, ofiarności, samozaparcia i waleczności.

Na współczesnej, młodej wsi żyją postacie, walczące o dobro i sprawiedliwość i czekające, aby wejść na karty książek, objawić się w słowie i zamieszkać w sercu i czynie czytających. Bo ten chłop jest pełnym obywatelem i wolnym człowiekiem.

Z dzisiejszych czasów musi się zrodzić książka, mająca kształtować jutrzejsze pokolenie.

Kłopotliwe pytanie

Pan X perorował o „inteligencji" w dobranym kółku składającym się z dwu starszych panów (po pięćdziesiątce), dwu pań domu i matek licznego potomstwa oraz pewnej damy w okularach, mocno głuchej i równie — wybaczcie impertynencję — ślepej, w wieku lat 70, choć przyznawała się do sześćdziesiątki, (jak się później dowiedziałem, była to pani hrabina M., dotknięta ciężką chorobą nerwową od czasu przeprowadzenia reformy rolnej). Tak skompletowane towarzystwo uzupełniałem ja swoją osobą. Moją obecność tłumaczył przypadek. Ale dość było tej krótkiej rozmowy, aby przekonać obie strony, że nie był to przypadek szczęśliwy.

Pan X w pewnej części przemówienia stwierdził, że „ludzie pozbawieni inteligencji będą niczym, choćby nie wiem jakie mądrości posiedli" — ta maksyma została przyjęta z ogólnym entuzjazmem z panią hrabiną M. na czele. Ja tylko jeden popełniłem ten wielki nietakt, że spytałem p. X, czy nie mógłby mi łaskawie wyjaśnić, o ile nie sprawi mu to przykrości, co rozumie pod pojęciem „inteligencji". Na to wszyscy obecni zwrócili się ku mnie z nieukrywanym oburzeniem, co powinno mnie było ostrzec przynajmniej o niestosowności przedłużania tak zaczętej dyskusji. Pan X natomiast z chłodnym, ale dobrze trzymającym się na ustach uśmieszkiem odparł: „Sądzę, iż większość nas — tu powiódł wzrokiem po dwu emerytowanych inżynierach (o stanowisku społecznym dowiedziałem się znacznie później), po dwu matronach, po pani hrabinie — poczem spojrzawszy z wyższością na mnie, ciągnął dalej — ta większość rozumie dobrze znaczenie tego słowa, o ile jednak pan chce usłyszeć definicję tego, że tak się wyrażę, terminu, proszę bardzo. Inteligencją jest nie tylko znajomość wszystkich dziedzin życia, ale także zdolność utworzenia własnego poglądu w każdej z tych dziedzin. „Przepraszam" — odparłem, popełniając drugą niegrzeczność po pierwszej — „czy pan własną inteligencją doszedł do rachunku różniczkowego? Czy posiada pan zdolność utworzenia własnego naukowego poglądu w zakresie fizyki, czy geologii? — czy pan, poza nazwą wie cokolwiek o embriologii?"

— „Wypraszam sobie stosowanie podobnych pytań pod moim adresem" — zabrzmiała odpowiedź.

Pozwoli pan, że postawię wobec tego inne pytanie — ciągnąłem uparcie, popełniając zdaje się trzeci skolei nietakt — podkreślał pan ważność wytworzenia własnego poglądu. To miałoby być, zdaniem pana, objawem inteligencji. Otóż, jak pan sądzi — czy chłopi, którzy przez tyle lat żądaniem reformy rolnej dawali wyraz innemu niż pan i pani hrabina poglądowi na prawo do władania ziemią, czy jest to żądanie objawem inteligencji chłopskiej, za czym przemawia i to, że dziś w majestacie dekretu państwowego i to nawet w trybie przyśpieszonym została przeprowadzona reforma rolna?"...

Nie wiem czy by pan X mi odpowiedział i co by mi odpowiedział, gdyż ledwiem skończył, zerwała się głucha i ślepa hrabina — i krzyknąwszy: „Nie, nie" ..popadła w wielki atak nerwowy, co zaludniło na dłuższy czas pana X dwóch panów inżynierów i dwie gospodynie a dla mnie oznaczało koniec przypadkowego zetknięcia.

LECH BUDRECKI,

Pomyłki Juliana Przybosia

Świetny poeta, Julian Przyboś, syn wsi rzeszowskiej, ogłosił ostatnio na łamach „Odrodzenia" obszerny artykuł pt. „W sprawie pisarstwa ludowego", który roi się od niedomyśleń, mylnych sformułowań i poważnych omyłek.

Sprowadzając do podstawowej tezy artykuł Przybosia dałby się on streścić w tym oto zdaniu: „Od współczesnej wsi nie należy oczekiwać poezji o znaczeniu ogólnopolskim, urodzaj na poetów przyjdzie później z pierwszej po reformie rolnej generacji inteligencji ludowej, ale dziś już chłop może dać wartościową prozę".

Innymi słowy jest to wezwanie, by „Wieś" (Przyboś zgłasza postulaty przez cały ciąg artykułu pod adresem właśnie „Wsi") drukowała urocze naiwności Rudnickiej czy Stopczyka jako swoją jedyną możliwą i cenną poezję — poza tym zaś trzeba wyłączyć całą produkcję wierszową aż do autentystów i niżej podpisanego włącznie, bo są to pisanki, stylizacja, zła poezja — natomiast drukować szerokim korytem prozę korespondencyjną, dokumentalną itd...

Hola, panie Przyboś! Skąd taka pewność siebie, pogarda dla innych poetów współczesnych? Pan ostatnio tylko z Homerem i Mickiewiczem się kumasz — do licha — czyżbyś uwierzył naprawdę, jak twierdzą złośliwi, że jesteś następcą tych olbrzymów? Cenimy Cię niesłychanie jako poetę, ale twój reportaż liryczny, który uprawiasz z sukcesem, jest jakże skromny wobec osiągnięć epokowych tamtych ludzi.

Myśl Pana jest mylna — Pan przekreśla ambitny dorobek nieobojętnych poetów, których wysiłek zdąża właśnie dać poezje wsi współczesnej o ogólnopolskim znaczeniu. Mówię tu o Ożogu, Ozdze - Michalskim, Frasiku, Kubiszu, Olsze, Baranowiczu, Skonecznym, Marcu — o sobie wreszcie. Nie wspominam tylko Pana, bo Pan od 1937 roku t. j. od pobytu w Paryżu sfrancuział jakby i nie przyznaje się do nas.

Jakże straszliwa krzywda dzieje się natchnionym kontynuatorom pieśni ludowej, Czechowiczowi, czy nawet Frasikowi, gdy Pan pisze o pisankach, o sielankach mdłych w związku z tamtym rodzajem poezji. A więc i pieśń ludowa oryginalna była fałszem i to bezwzględnym fałszem, bo w kłamstwie przedstawiała życie.

Pomyliło się coś Panu, Pan formista przeoczył najważniejsze zagadnienia poezji, zagadnienie formy.

Zresztą wiara w natchniony prymitywizm, w naiwność niekontrolowaną to przecież stanowisko krytyka akulturalne, niepostępowe, co tu gadać, reakcyjne, które pasowałoby w organie katolickim którymś, ale w „Odrodzeniu"?

Nie można zahamować procesów kulturalnych i społecznych. Wieś przestała być rezerwatem, kolonią murzynów, wyszła ona trakt kultury i wiedzy. Dla nas zjawiskiem ważnym jest Pokora, Pocek, czy inni, (ważniejszym niż Rudnicka), choć piszą nieraz rzeczy niedobre, bo to jest mocowanie się chłopa utalentowanego z olbrzymim materiałem literackim swego Narodu. Piszą na razie nijako — będą pisać lepiej. My, to jest Pan i ja pisaliśmy równie rzeczy koszmarne na początku, Pan o bogach słowiańskich, ja o krowach, pływających w snach. Jest słusznem wzywanie do naukowości w opisach zjawisk literackich ludowych, do poświęcenia więcej miejsca prozie dokumentarnej (tylko nie czynić bóstwa z dokumentu) — co prawda my tę myśl mieliśmy już sami i będziemy ją cenić, tymbardziej po Pana przypomnieniu.

Skąd te jednak łatwowierności, mielizny teoretyczne Pana w rodzaju sądów o powieści dwudziestolecia i poezji autentystów — czy przypadkiem to nie zła wola? Chęć obniżenia naszych wysiłków w opinii Polski dzisiejszej?

P. S. Krytycy — Sandauerze, Wyko, Kottu (czy Kotcie), Lichański udowodnijcie Przybosiowi, że myli się jakobym ja, czy Ożóg, ne był poetą wsi o ogólnopolskim znaczeniu i w ogóle udowodnijcie mu czarno na białym, że żyją dzisiaj poeci niemniejszej skali od niego w obecnej Polsce, bo on cierpi, że jest wciąż sam.

P. S. Prywatne: Drogi Julianie, możesz po tej mojej gwałtownej odpowiedzi zerwać ze mną stosunki. Proszę bardzo. Muszę Ci jednak oświadczyć, że nie przemyślałeś gruntownie zagadnienia i powodowałeś się złą wolą w przedstawieniu wysiłków pisarzy chłopskich. Bądź co bądź uwagi Twoje świadczą, że interesujesz się zagadnieniami dzisiejszej wsi, zapraszam Cę tedy gorąco na Zjazd Walny Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, który odbędzie się w marcu. Będziesz mógł na nim wobec licznych uczestników jeszcze raz sformułować swoje myśli i bronić swego stanowiska.

STANISŁAW PIĘTAK

KTO JEST „CHŁOPEM"?

(Z listów naszych korespondentów)

Felietonik M. Barchanowskiej — „DOPOKĄD CHŁOPEM" — wywołał żywy oddźwięk u naszych czytelników — przede wszystkim u czytelników z napółinteligenckiego środowiska wiejskiego. Drukujemy trzy wypowiedzi

Oto pierwsza wypowiedź. Pisał ją człowiek rozsądny — może organista, drobny urzędnik na wsi, lub w miasteczku. Pismo bez śladów błędów ortograficznych — jasność ujęcia, dobitność, swoista godność cechują każde zdanie korespondencji.

***

W jednym z numerów „Wsi" ukazało się – niby – kłopotliwe pytanie, obyw. M. Barchanowskiej, pt. „Dopokąd chłopem?"

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie uprzytomnić kto jest właściwie – w pełnym tego słowa znaczeniu – chłopem? Jakie znamiona fizyczne i duchowe powinien posiadać chłop?

Chłop mieszka na wsi, uprawia ziemię, hoduje bydło, trzodę i drób, chodzi w sukmanie, mówi gwarą i jest mało rozwinięty umysłowo...

Tak sądzą w olbrzymiej większości mieszczuchy.

Sprawa przedstawia się zgoła inaczej.

Chłopem jest rolnik lub ogrodnik pracujący na roli własnej lub za zapłatą na obcej, rzemieślnik wiejski jak kowal, kołodziej, szewc, bednarz, chałupnik każdego rodzaju, sklepikarz. Ten ostatni o ile pochodzi ze wsi i nie wstydzi się swego pochodzenia.

Chłop nie musi chodzić w sukmanie czy siermiędze, może nosić się jak uważa za stosowne, nie musi mówić gwarą – bo ta zanika prawie wszędzie, a zwłaszcza w takich wsiach, gdzie są 7 klasowe szkoły powszechne, z wyjątkiem takich okolic regionalnych jak Podkarpacie czy Śląsk, gdzie gwara nie dała się wyprzeć ze swego dominującego stanowiska.

Chłopem jest rolnik – praktyk, analfabeta, lecz jest nim także rolnik-agronom, (w Danii prawie każdy rolnik jest agronomem). Wreszcie chłopami są chałupnicy i rzemieślnicy wiejscy.

Trzeba jeszcze odróżnić wieś od wsi. Nie jest wsią – – moim zdaniem – podmiejskie osiedle urzędnicze, oficerskie czy robotnicze. To nie jest wieś. Takiej miejscowości, w której największym bydlęciem domowym jest królik, a z ptactwa kanarek lub gołąb, nie można nazywać wsią, choć należy do zbiorowej gminy wiejskiej.

Kto nie jest wobec tego chłopem?

1) Mieszkaniec miasta, który z konieczności służbowej zamieszkuje na wsi (lekarz, ksiądz, nauczyciel, urzędnik, sklepikarz itd.) o ile nie sa pochodzenia chłopskiego, względnie jeśli się do tego nie przyznają.

2) Chłopi, którzy wyprowadzili się do miasta, gdzie uzyskali stałe zatrudnienie jako robotnicy, dozorcy domów itp. również przestają być chłopami, ponieważ automatycznie przechodzą do innej pokrewnej grupy społecznej – robotników lub inteligencji pracującej u wykształconych chłopów. Naturalnie wtedy, gdy zapierają się swego chłopskiego pochodzenia (nagminna rzeczywistość do 1939 r.).

3. Jeżeli ktoś zapiera się swego chłopskiego stanu z powodu uzyskania pewnego wykształcenia, tego nie powinno się powtórnie schłopić. Niech zostanie wroną z bajki Krylowa, która „pawich piór natykawszy sobie w chwost" udawała pawia.

W konkluzji stwierdzam, że są chłopi prawdziwi i są chłopi „przyszywani". Jeżeli ktoś nie umie odróżnić na polu owsa od jęczmienia, gęsi od kaczki, niechże się nie blamuje i nie podszywa pod zaszczytną dla jednych, a modną tylko dla drugich nazwę chłopa polskiego.

ADOLF KOTARBA
wieś Chrzanów, k. Warszawy

***

Autor drugiej korespondencji jest klasycznym przykładem wiejskiego literata, który chleb jadł z niejednego pieca, niejedno widział i ma się czym popisać przed ludźmi.

Słuszne spostrzeżenie, że nazwa chłopa w Małopolsce służy nie do określenia stanu człowieka, lecz jego przymiotów (istotnie mówiło się tam jak o największej pochwale np. i o biskupie i staroście etc.: piękny chłop lub na odwrót cherlawy chłop, miękina chłop) rozwleka w zbyt może szerokie przestrzenie historii i cytuje przykłady z Niemiec, z Czech, by na terenie „ogólnoświatowym" potwierdzić swoje zapatrywania..

Tysiące takich u nas ludzi po wsiach!

Oto jego słowa:

***

Nie wszędzie u nas w kraju nazywają chłopem mieszkańca wsi, bo mówią o tych, którzy posiadają jakiś majątek nieruchomy, że są gospodarzami. Można to słyszeć w Małopolsce jak i w Poznańskiem. O chłopach wyrażają się wtedy, gdy chcą oznaczyć pewną ilość mężczyzn, np. „było tam około pięćdziesięciu chłopa" lub gdy chcą ocenić jakiś przymiot danego człowieka to mówią: „to piękny, dobry chłop". Dzięki jednak właściwości języka polskiego, jaką możemy się poszczycić, możemy uczcić takiego np. Napoleona, Kościuszkę czy Witosa mianem: to był dobry chłop (dobry człowiek).!

W języku niemieckim brzmiałoby śmiesznie takie powiedzenie o Fryderyku II czy Bismarku: „to dobry Bauer!" U Czechów i Morawian, siedzący na roli wieśniak nazywa się „sedlak". Też ani Palacky'ego ani ob. Kramarza nie możnaby potraktować nazwą: „to dobry sedlak", jeśli nie byli wieśniakami i nie siedzieli na roli.

Natomiast w Polsce można każdego mężczyznę potraktować tą nazwą: „dobry chłop" (o ile na to zasługuje) – choćby nie pochodził ze wsi i mieszkał w mieście.

Ob. M. Barchanowska nie obawia się o to, że „chłop mówiący językiem literackim i czytający książki z biblioteki „Wiedza i technika" czy z biblioteki „Laureatów Nobla", stały słuchacz audycyj radiowych, chłop-inżynier, technik, lekarz, kierownik świetlic, kursów, spółdzielni" itp. pójdzie (jak bywało) „za panicza do dworu", bo on będzie i pozostanie na zawsze chłopem – obywatelem Polski Ludowej – bez względu na ubiór, zajęcie i wykształcenie, – nie wstydząc się swego chłopskiego pochodzenia przypieczętowanego historyczną nazwą „chłop".

Chłop może być rolnikiem, zagrodnikiem, ogrodnikiem i gospodarzem, czyli „gazdą" jak mówią Podhalanie, a może też być w mieście adwokatem, sędzią, lekarzem, profesorem, księdzem – czy szewcem i wyrobnikiem, ale też może być i taki, którego zasługi dla Ojczyzny przeważają zasługi niejednego z królów. Nie braknie więc dla chłopa miejsca ani w przestrzeni ani w czasie – przeto to pytanie „dopokąd chłopem?" lepiej pozostawić bez odpowiedzi.

PIOTR WYROBEK
z powiatu krakowskiego

***

Trzecia wypowiedź najprostsza, tchnąca serdeczną nutą, świadczy jak czułego czytelnika i słuchacza posiada nasza współczesna literatura. Ile ukochania bezinteresownego sztuki trzeba, by żyjąc samemu skromnie prenumerować pisma literackie i tam znajdować treść dla swojego myślenia i czucia.

Nie jest źle w naszym świecie wiejskim, trzeba tylko dążenia przodowników kierować w słuszne łożyska, jak to już się dzieje na odcinku literatów wiejskich, a więc ludzi najwrażliwszych, mających najbardziej oczy otwarte na przeszłość i dzisiejszość, i przyszłość.

***

Jestem chłopem – gdyż: urodziłem się we wsi i mieszkam na wsi, posiadam własne, choć maleńkie gospodarstwo, które własnem rękami obrabiam. Stroju ludowego – niestety, ani ja ani żona nie nosimy, gdyż takowy w okolicy naszej dawno już zaginął. Mówimy językiem prawie że literackim, ponieważ gwara we wsi naszej i okolicznych jest w zaniku, a tworzy się jakiś żargon podmiejski.

Na koniec powiem szczerze – wykształcenia oprócz szkoły powszechnej nie mam żadnego, ale Bogu dzięki, ciemny jak tabaka w rogu nie jestem, ponieważ mogę i czytam nawet książki z biblioteki „Wiedza i technika" i z biblioteki „Laureatów Nobla" i mam ich własnych kilkaset tomów. Pozatem prenumeruję siedem czasopism, a są to: „Wieś", „Odrodzenie", „Kuźnica", „Tygodnik Powszechny", „Przekrój" „Sztandar Chłopski" i „Piast", Oprócz tego czytam jeszcze „Życie Literackie", „Zdrój" i wiele innych. Przed wojną miałem nawet własny radjoodbiornik, za którym i obecnie tęsknię, tak samo, jak i za drogą bitą we wsi, za światłem elektrycznym, komunikacją samochodową i t. d. i t. p., a mimo to jestem i pozostanę chłopem.

Tak więc, proszę was Obywatelko!

O chłopskości nie decyduje sukmana, ani gwary, ani analfabetyzm – bo chłopskość to nie coś ujemnego, czego powinniśmy się wstydzić, bo na przestrzeni wieków chłop nie popełnił niczego takiego, coby go miało zhańbić, a więc i w dobie radja, elektryczności i energii atomowej chłop chłopem pozostanie.

WŁADYSŁAW KOSOWSKI
Majdan Krasieniński
koło Lublina

P. S. Przypuszczamy, że te wypowiedzi na temat „CHŁOPSKOŚCI" dyskusji nie zakończą, a przeciwnie, rozpalą ją. Będziemy mogli w następstwie bogaty plon uwag uporządkować pod względem ważności cech, odrębności i płynności, dochodząc do wyraźnego zdania sobie sprawy ze współczesnej samowiedzy warstwy chłopskiej i jej rozmaitych środowisk kulturalnych.

p.

Nowe drogi

Wieś polska powoli przeobraża swoje oblicze. Podstawą gospodarki wiejskiej są indywidualne gospodarki chłopskie, małe, średnie i większe. Reforma rolna powiększyła ilość gospodarstw mało- i średnio-rolnych. Jeśli dotychczas można było mówić o pewnej konkurencji zawodowej między poszczególnymi gospodarstwami chłopskimi (silniejszy uciskał słabszego, jako handlarz przetworów rolnych, jako pracodawca-wyzyskiwacz, jako nielitościwy wierzyciel) — obecnie wieś wchodzi na drogę współpracy gospodarczej wszystkich chłopów, trudniących się rolnictwem. Słabsze i średnie gospodarstwa bierze w obronę Związek Samopomocy Chłopskiej, dając im pomoc materialną. Rozrastające się coraz bardziej spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej są tej współpracy najwyraźniejszym dowodem. Obecnie mamy do zanotowania jeszcze jeden fakt, świadczący o stałym postępie wsi polskiej; powstanie Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej — centrali spółdzielczości samopomocowej — stanowi poważny krok naprzód do podniesienia poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi. Celem zrzeszenia, którego członkami mogą być (i są) wszystkie spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej ,jak też i inne spółdzielnie, prowadzące zakłady przemysłowo-rolne, oraz osoby prawne, zajmujące się pracą w zakresie rolnictwa, — jest rozbudowa wytwórczości przemysłowej i rolnej w zrzeszonych spółdzielniach przez planową akcję organizacyjną, instrukcyjną i gospodarczą. Zrzeszenie zaopatrywać ma spółdzielnie w surowce, urządzenia i materiały techniczne oraz w inwentarz hodowlany. Zrzeszenie ułatwi spółdzielniom zbyt ziemiopłodów i produktów przemysłu rolnego przez odpowiednią działalność instrukcyjną i informacyjną.

t. p.

DRUGA AUDYCJA „TWÓRCZOŚCI CHŁOPSKIEJ"

W dniu 2 stycznia 1946 r. odbyła się następna skolei audycja „Twórczości chłopskiej", zorganizowana przez Redakcję tygodnika „Wieś", nadana z Łodzi na wszystkie rozgłośnie polskie. Tym razem przed mikrofonem Polskiego Radia odczytano prozę Józefa Pogana; był to wyjątek z „Ludzi pustkowia" zatytułowany „Studnja". Tematem tego fragmentu jest historia budowy studni artezyjskiej w ubogiej i zabitej deskami od świata wsi. Lekturę Pogana poprzedził szkic pióra Stefana Lichańskiego o tym chłopskim prozaiku.

Audycje „Twórczości chłopskiej" nadawane są co dwa tygodnie na wszystkie rozgłośnie polskie. Słuchajcie nas w każdą drugą środę o godzinie 17,15.

z. s.

„Biedny i bogaty" Józefa Pogana

Drukowany w przedświątecznym (20-ym) numerze „Wsi" wyjątek z powieści Pogana „Ludzie pustkowia" można uważać za typowy dla twórczości tego pisarza, który jako prozaik debiutuje po wojnie, i od razu skupia na sobie całą naszą nadzieję, jako czołowy może pisarz prozaiczny współczesnego chłopskiego pokolenia.

Taką nadzieją powiało: — czy się ona spełni, czy potrafi Pogan dać całkowity obraz naszego chłopskiego czasu, przyszłość to okaże. We wszystkich dotąd opublikowanych fragmentach, zarówno w „Twórczości", jak we „Wsi" i w „Orce", jest piękna zapowiedź. Wyjątki te mają cechy uderzające, w dziejach ludowej prozy zupełnie nowe; żeby je z czymś zestawić, możnaby sięgnąć — do BALZAKA. W tym miejscu niejeden z czytelników posądzi nas o przeholowanie w entuzjazmie dla „naszego" pisarza; ale też wcale nie mamy zamiaru porównywać znaczenia czy rozmiarów dzieł przez nich utworzonych, — nie mniej rzucają się w oczy uderzające podobieństwa zarówno w postawie — obserwatora, jak w technice, a nawet ideologii — między wielkim francuskim powieściopisarzem a naszym Poganem, świadczące o niewątpliwym pokrewieństwie typu twórczości.

Pierwsza cecha wspólna: realizm szczegółu. Obydwaj są drobiazgowi w opisie przedmiotów i cech, — ale jest to drobiazgowość nastawiona w jednym tylko kierunku. Pogan nie opisuje wyglądu ludzi, ich miny, efektu jaki wywierają; natomiast szczegółowo podaje co jedzą, jak przyrządzone, ile razy dziennie. Opis niechlujnego gotowania kaszy w „Niedołężnym małżeństwie", posiłek dwóch chłopów (jeden je mięso, drugi nic nie ma) w „Biednym i bogatym" — stanowią główne sceny tych utworów. Pogan nie interesuje się nastrojem miejsca, które przedstawia, ale z pasją wylicza przedmioty w chałupie i morgi gruntu gorszej i lepszej ziemi. Analogia z Balzakiem jest tu uderzająca, mimo ciaśniejszego zakresu u naszego pisarza. Szczegółowy opis materialnego stanu chłopskich bohaterów jest u Pogana odpowiednikiem owych niekończących się balzakowskich narracji o rentach, papierach wartościowych, szczęśliwych zabiegach handlowych, o wyglądzie mieszkań, pałaców, domów — przytem nigdy nie idzie o wrażenie jakie to otoczenie robi, a tylko o odpowiedź na pytanie: ILE TO WARTE?

Dalej: Pogana nie obchodzą uczucia, przeżycia i sentymenty bohaterów; można powiedzieć, że nawet ich LOSY go nie interesują. Tematem u niego jest zawsze jakaś SPRAWA, i to sprawa materialna: więc dzieje schedy, którą otrzymało głupkowate małżeństwo. historia ubogiego gospodarstwa, prześladowanego przez komornika i przez bogatego chłopa (Biedny i bogaty), dzieje założenia studni w gminie. Wyczuwamy u niego takie mniej więcej nastawienie: „Teraz wam opowiem historię pewnego opuszczonego gruntu, dla przykładu, że co się zaniedbało, to nie zawsze opłaca się odrabiać. A ponieważ gruntem tym zajmował się pewien chłop, więc posłuchajcie jego dziejów...".

To powoduje, że Pogan, podobnie jak Balzak, jest OBIEKTYWNY Jego bohaterowie chwytają nas za serce albo śmieszą jakby wbrew woli autora, który nie miał zamiaru budzić w nas sympatii lub niechęci do swoich postaci. Pogan opisuje jak było, jedno po drugim, nie wykorzystując naszej życzliwości czy odrazy. Nie jest kaznodzieją, nie pokazuje palcem kto winień: wizytę nieludzkiego komornika, czy skąpstwo bogatego chłopa opisuje na równi z niezdarnością wyzyskiwanego przez nich niedołęgi, bez moralnych wskazówek, po prostu JAKO FAKT, który się zdarzył. I dlatego, podobnie jak Balzak, budzi w nas zaufanie, i dzieło jego przemawia, jako argument społeczny, stokroć silniej niż gdyby autor załamywał ręce i pomstował wielkim głosem.

A może ta równoległość patrzenia a Francuza i Polaka płynie stąd, że obydwaj byli — chłopami? Bo jeszcze dziad Balzaka orał własną ręką... W każdym razie, jest Pogan w naszej ludowej twórczości zjawiskiem świeżym: obraz nędzy chłopskiej w jego prozie jest rzeczowy i całkowicie pozbawiony sentymentalizmu. Oto dlaczego odczuwamy tego samorodnego chłopskiego prozaika jako pisarza nowoczesnego, mimo że porusza te same tematy, które łzami oblewał ckliwy Junosza-Szaniawski. Jest to nasz mały Balzak: ta sama pasja, mania, werwa; ta sama obfitość życia, dramatyczny przebieg zmian, ciosów materialnych, spadających szeregiem na bohaterów, bez roztkliwiania się nad nimi; to samo nastawienie na problem interesu, materii, zaopatrzenia. Podobnie jak przez Balzaka, talent obserwacyjny mówi przez Pogana jakby wbrew jego woli; tak jak Balzak, pchany temperamentem do twórczości, zmarnował wiele lat na pisanie nieudanych tragedii, tak i nasz Pogan strwonił sporo czasu na złe poezje, a do powieści wziął się około czterdziestki. Jedno tylko ich różni: Balzak był rzadkim w literaturze grubasem, a nasz kochany Pogan, przeraźliwie chudy, jest najszczuplejszym członkiem Oddziału Wiejskiego... By jednak nie kończyć żartem, stwierdzamy jeszcze raz, że w dwóch tych pisarzach tkwi twórcza zawziętość POKREWNEGO gatunku i życzymy zarówno sobie, jak Poganowi by była w przyszłości RÓWNEGO GATUNKU, choć chłopskiego i polskiego,

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

CZESŁAW GARDA

PŁASKORZEŹBA

To byli doprawdy szczęściarze. Chociaż wysiedleni z własnej gospodarki, pozostali w tej samej okolicy i oddaleni zaledwie o 20 km od Łodzi, nie odczuwali prawie, że to czwarty rok wojny i niemiecka okupacja.

Mieszkali w osobnym domku przy dworze, gdzie pomyślnym zbiegiem okoliczności najstarszy ich syn, absolwent szkoły rolniczej, otrzymał posadę rządcy.

Pozwolono mu trzymać krowę i drób, którego ilość rychło przekroczyła przepisową normę i doszła do kilkudziesięciu głów kurzych i kaczych.

Podobnie rozmnożyły się króliki, które zresztą komisarza dworu zupełnie nie obchodziły.

W momentach, kiedy moja głodowa egzystencja w mieście dokuczyła mi nadmiernie, obraz tego rezerwatu zwierzątek stawał mi w dzień przed otwartymi, a w nocy przed zamkniętymi oczyma. Nie opierałem się wtedy długo pokusie i częściowo podmiejskim tramwajem, częściowo na chwiejnych nóżkach — robiłem wypad na wieś. Najeść, owszem zawsze się najadłem. Ale za to — wypitego mleka, zjedzonych jaj, kurzego czy kaczego udka, ludzie ci nie pozwolili mi wprost strawić.

Rządca, rumiany i zdrowy byczek, któremu podobnego nie miałem szczęścia w czasie wojny, ujrzeć wśród moich współrodaków, okrutnie wyrzekał na swój los i zamęczał mnie pytaniami, kiedy zacznie się na zachodzie ofensywa, kiedy wojna się skończy? Jakbym akurat był wtajemniczony w plany głównego sztabu naszych — niestety — nie śpieszących się sprzymierzeńców.

Kiedy po obiedzie rządca udawał się do swych zajęć, a jego ojciec na drzemkę, brała mnie w obroty szybkomówiąca matka.

Zwierzała mi się skwapliwie z trudności swoich operacji handlowych, przeprowadzanych wespół z gospodynią dworu, panią Wirską, a które to operacje głównie polegały: na zdobywaniu „na lewo" zboża, „lewym przemiale i „lewej" sprzedaży mąki, co było zresztą już najłatwiejszą sprawą. Poza tym, od czasu do czasu, skaptowawszy uprzednio dworskiego pisarza, urządzały potajemny ubój barana, świnie bowiem zbyt skrupulatnie kontrolowane były przez komisarza. Pisarz za „umiejętnie" przeprowadzony remanent baranów otrzymał ekwiwalent w gotówce, mięsem zaś dzieliły się kobiety.

O rządcy wspomnieć wypada, że choć prowadził z pisarzem zgodną akcję uwodzenia dziewcząt pracujących we dworze, do spraw uboju się nie mieszał, bo nie chciał „wisieć".

Bywały jednak chwile, że obie kobiety gniewały się na siebie z powodu nieporozumień, wynikłych z chaotycznego prowadzenia rachunków i wzajemnych posądzeń o nieuczciwość. Wtedy moja rozmówczyni równie skwapliwie informowała mnie o życiu prywatnym wspólniczki.

Dowiedziałem się więc, że: pani Wirska była kochanką Herr Zdanowsky'ego komisarza majątku, w którym uprzednio pracowała, odeszła jednak z tamtąd, gdyż kochanek zaczął ją notorycznie zdradzać, teraz stara się „podejść" pod obecnego szefa, ale bezskutecznie, mimo że Herr Kitzke jest również „rozwodnikiem". W ogóle, to pani Wirska nie może żyć bez mężczyzn, ale niezależnie od przygodnych kochanków, pragnie jeszcze raz wyjść zamąż, mimo że jest babką!

Te wszystkie handlowe i niehandlowe wiadomości, powtarzające się ciągle w różnych wariantach, przestały mnie rychło zajmować.

Doszło wreszcie do tego, że jednostajny terkot mojej rozmówczyni zaczynał działać na mnie usypiająco. I kiedy w najlepsze bym się zdrzemnął, zjawiał się właśnie rześki po drzemce mąż szybkomówiącej i strofował mnie po ojcowsku, że nie korzystam z świeżego powietrza.

Więc szliśmy na przechadzkę.

— Stale mówię to samo, — zaczynał płaczliwie wydukiwać pan Jan, że przez moją żonę wszyscy wpadniemy. — A niech pan sam powie, czy nie mamy jedzenia w bród? Czego nam więcej trzeba? Chyba ptasiego mleka? — Więc tylko siedzieć cichutko i przeczekać! — Ale mojej żonie co innego w głowie. — Po co jej ten handel mąką? Poco pieniądze? Poco wdaje się w szlachtowanie baranów? Poco — mówił wpadając w desperacką pasję i ściskając mnie kurczowo za łokieć — żona zadaje się z tym małpiszonem? Ten małpiszon — mój towarzysz z wyraźną satysfakcją obrażał panią Wirską — ze wszystkiego się wykręci, tym bardziej, że podpisze już wkrótce „Volkslistę".

A my — zginiemy, zginiemy — powtarzał, puszczając mój łokieć i spoglądając smutno na swój pokaźny i z braku innych zajęć kultywowany brzuszek.

Podobne rozmowy, a właściwie monologi, powtarzały się podczas naszych przechadzek. Na zakończenie ograniczałem się tylko do lakonicznych słów ubolewania, że pan Jan nie ma wpływu na żonę i poziewałem, zazdroszcząc nieszczęśliwemu małżonkowi odbytej drzemki.

Ten senny nastrój ulotnił się bezpowrotnie z chwilą, kiedy osobiście poznałem panią Sylwię Wirską.

W pierwszej chwili doznałem uczucia przygnębienia, podobnego do tego, jakie ogarnęło mnie kiedyś w cyrku na widok pewnego „championa" świata. Pani Wirska bowiem miała nademną również ilościową przewagę.

Ważyła, jak sama bez żenady a nawet z pewną dumą wyznała, 95 kg. Obiektywnie rzecz biorąc, nie była jednak zdeformowaną tłuściochą, raczej —podobnie jak ów „champion" — atletycznej budowy, i jak na wiek w granicach 44—50 lat (pani Wirska przyznawała się do dolnej granicy, pani Janowa dodawała jej lat 6) jeszcze wcale przystojna.

Ale rychło otrząsnąłem się z chwilowego przygnębienia, gdyż zaabsorbowała mnie całkowicie akustyczna i wewnętrzna strona zjawiska.

Pani Wirska mówiła szybko, ale uchwytnie wolniej niż jednostajnie mieląca jak ręczny młynek pani Janowa, natomiast tonem nieco sztucznie podwyższonym, jaki zazwyczaj tchnął z ustek pewnych dam, które przejęły się kinetyczną teorią materii i z iście kobiecą nierozwagą oddawały się żywiołowi ruchu czyli „pracowały społecznie".

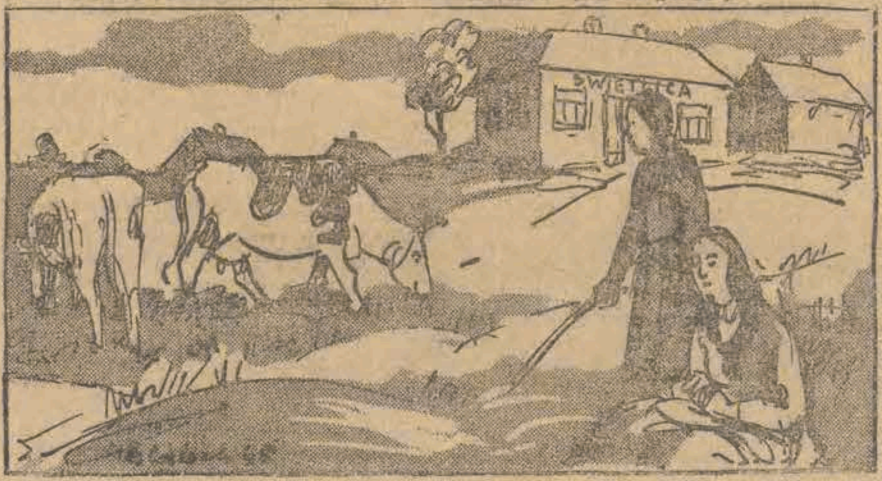
Przed wojną, niezależnie od tego, że administrację kamienicy miała wyłącznie „na swej głowie" (bo mąż miał tylko w głowie bractwo kurkowe, polowania i wreszcie umarł tknięty apopleksją, nie doczekawszy się licytacji domu, pani Wirska również pracowała społecznie.

Była członkinią wielu stowarzyszeń i nawet vice-przewodniczącą koła P. C. K. w pewnym mieście na Pomorzu. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się z opóźnieniem, gdyż w chwili, kiedy panią Wirską poznałem, znajdowała się w ostatnim stadium komplikacji przed całkowitym zerwaniem łączącego ją stosunku z Herr Zdanowskym.

„Rąbka tajemnicy", dotyczącego tych spraw właśnie, pani Wirska najwcześniej uchyliła przedemną. I chociaż nie powiedziała „wszystkiego" (jestem człowiekiem dyskretnym i nie miałbym nawet śmiałości, żeby...) to jednak z fragmentów tej „sprawy męża i niewiasty" wynikało jasno, że pani Wirska nie tylko wobec zdrady, ale i niewdzięczności, czyli mówiąc krótko: wobec człowieka, który „nie zasługiwał" zachowała postawę, dającą się jednym słowem określić jako wielkoduszną. Prawda że z początku, idąc za popędem wzgardzonego uczucia i nerwów, nie dbając nawet o zwrot tysiąca dwustu dwudziestu pięciu marek, które pożyczyła Herr Zdanowsky'emu na doraźne pokrycie kasowych niedoborów (akurat zjechała komisja na przegląd ksiąg majątkowych), skierowała anonim do policji, oskarżając Herr Zdanowsky'ego, że na stanowisku komisarza dopuszczał się nadużyć i państwowe pieniądze trwonił na hulanki z kobietami „niemoralnych obyczajów".

ŻYCZENIA NOWOROCZNE
(Czego nie chca pisarze chłopscy w Nowym Roku?)

JANINA SOBIESZEK: „EWKA I TERESA" (Nr. 21 „WSI")



Aby pastwisko przestało być jedynym teatrem i szkołą życia dla dzieci wiejskich.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ: „MATKA" (Nr. 16 „WSI")



Aby wysiłek matek, które pragną dla swych dzieci lepszego losu i widzą go, jakże słusznie w wykształceniu — nie szedł na marne!

JÓZEF POGAN: BIEDNY I „BOGATY" (Nr. 20 „WSI").



rys. St. Cieloch

Aby w imię historycznego obowiązku jednolicenia politycznego warstwy chłopskiej inny ukształtował się stosunek między bogatym a biednym chłopem

Prawda, ale rychło się przecież opamiętała. Wystarczyło, że Herr Zdanowsky powiedział:

— Sylwuś, przyznaję, że jestem kobieciarz i pijak, ale ciebie tylko jedną zawsze kocham, ciebie Sylwuś... a pieniądze, bądź pewna, ci zwrócę. I wtedy co? Pani Wirska z podziwu godną cywilną odwagą sama zgłosiła się do policji i oświadczyła, że jest autorką anonimu, i że oskarżenie było fałszywe, spowodowane tylko kobiecą zazdrością.

Ostatecznie, sprawa ta dla Herr Zdanowsky'ego i dla pani Wirskiej zakończyła się bez żadnych karnych konsekwencji.

A mogłam go — zapewniała mnie pani Wirska — wtrącić do więzienia, ale trudno — westchnęła z rezygnacją — jestem w nim chyba zakochana.

— On chce — podjęła, ożywiając się i przyśpieszając tempa — żebym do niego wróciła. Ale nigdy tam nie wrócę! Dość się najadłam wstydu, każda dziewka we dworze wie przecież jak mnie zdradzał i jak mi jeszcze naurągał nieraz ordynarnie, gdy się upił. Nie! — Owszem, mogłabym wrócić ale tylko jako żona. Lecz jemu małżeństwo wcale nie w głowie (zresztą nie uzyskał jeszcze formalnego rozwodu). Wiem zresztą, że gdyby nawet ożenił się ze mną, i tak nie zmieni obecnego trybu życia. Poznałam go dobrze, jest to w gruncie dobry człowiek, ale nerwus i słaby charakter.

— Wie pan, — uchylała dalej „rąbka — on często jeszcze telefonuje do mnie i prosi o spotkanie. Ja mu wtedy odpowiadam oficjalnie i po niemiecku (on się o to — uśmiechnęła się przekornie — zawsze wścieka): „Panie Zdanowsky — mówię — między nami wszystko skończone. Spotykać się z panem więcej nie będę, niech pan nie myśli, że przyjdę do pana, żeby dziewkom i pańskim kochankom robić z siebie pośmiewisko. Nie. Jeśli przypadkowo się spotkamy, to mogę najwyżej porozmawiać z panem jako ze zwykłym znajomym, o sprzyjaniu sobie (słowem „sprzyjać" określała pani Wirska erotyczną stronę swego stosunku z Herr Zdanowskym), o sprzyjaniu — powtarzam — więcej nie ma mowy.

— Ale on, — dowiadywałem się nowych szczegółów — jak tylko ma interes w Łodzi (pani Wirska, choć była już „Volksdeutsche" Łódź ciągle nazywała po staremu, a nie „Litzmannstadt'em") zawsze choć na godzinę — wpada tutaj do dworu. Wtedy, choć się nawet modlę do św. Genowefy, żeby mi sił dodała w oporze, nie mogę jednak, nie mogę mu się oprzeć...

Przyznam się, że raczej spodziewałem się wcześniejszego zdobycia Sycylii, niż faktu, że gdy po dwutygodniowym głodowaniu w mieście znowu zrobię wypad na wieś, zastanę panią Wirską nieomal mężatką, bo nie tylko oficjalnie narzeczoną, ale już w zapowiedziach.

W ciągu półtorej godziny zdążyła zaledwie zapoznać mnie z ważniejszymi momentami zaszłych wydarzeń, poczem ciężko się poderwała i pobiegła do narzeczonego, którego ujrzeliśmy z ogrodu, jak zajeżdżał przed ganek dworu.

Ta półtorej godziny trwająca i właściwie niezakończona rozmowa, była jednak zakończeniem moich towarzyskich kontaktów z panią Wirską.

Rozumiałem bowiem jej skrupuły, a w żadnym wypadku nie chciałbym mącić szczęścia kojarzącego się małżeńskiego stadła.

Gdy sobie nieco później rozmyślałem nad tym, jakie jednak musiało być szalone tempo wydarzeń w ciągu stosunkowo tak krótkiego czasu, to mnie to — przyznam się — aż śmieszyło, bo mimowoli kojarzyło mi się wszystko z obrazami za szybko puszczanego filmu. Ale teraz daleki jestem od śmiechu, gdyż chodzi tu przecież o sprawy poważne, życiowe. Osądzicie to zresztą sami, gdy wydarzenia tych dwóch tygodni opowiem.

W dniu, kiedy wróciłem do Łodzi, przyjechał na wieś pana Jana bratanek, który pracował jako majster przędzalniczy w jednej z łódzkich fabryk. Pan Zygmunt (tak miał na imię przybyły) niedomagał trochę na żołądek, to też symulując stan poważniejszy, uzyskał zwolnienie lekarskie z pracy na tydzień i po raz pierwszy od roku przyjechał do krewnych.

PANI WIRSKIEJ

Pani Janowa zapoznała go niezwłocznie z panią Wirską, na którą swoim zachowaniem i męską postawą pan Zygmunt podziałał tak silnie, że nim upłynęła doba, doszło do „sprzyjania". Zabito z tego powodu dwa barany, z których jednego, jako krewna (oczywiście nie barana, tylko pana Zygmunta) otrzymała w całości pani Janowa. Barany zostały skonsumowane błyskawicznie i nic nikomu się nie stało, jedynie pan Jan dostał silnego rozstroju, ale tabletki „Carbo animal's" postawiły (już po paru godzinach) nieszczęśliwego małżonka na nogi.

Gdy się działy wyżej wspomniane wydarzenia, młodsza siostra pani Janowej, pracująca jako pomocnica buchaltera w gminnej zbiorni mleka, została przez świeżego kierownika tejże zbiorni (poprzedniego usunięto za nadużycia) zaszczycona propozycją matrymonialną.

Jednak siostra pani Janowej, choć miała około trzydziestki i po na ogół burzliwej młodości była obecnie do małżeństwa skora, propozycję odrzuciła z dwóch powodów: 1 uważała, że kierownik jest za stary (miał 64 lata), 2 — brała pod uwagę sytuację polityczną t. zn. nie wierzyła w zwycięstwo Niemców (a tejże narodowości był oczywiście kierownik zbiorni mleka). Ażeby jednak nie narazić się zwierzchnikowi, chwyciła się, złotego środka i postanowiła staruszka wyswatać. W tym celu poznała go z panią Wirską. Stało się to w dniu, w którym pan Zygmunt wrócił do pracy. Wypadki potoczyły się teraz jeszcze szybciej.

Staruszek od pierwszego wejrzenia zakochał się w pani Wirskiej i następnego dnia napisał do niej miłosny list (adresatka mi go odczytała), w którym wspominał z rozrzewnieniem swą zmarłą żonę i pragnął podobnego szczęścia na resztę swych dni z panią Wirską.

Tutaj pani Wirska ujawniła jeszcze raz swoją wielkoduszność. Pojechała niezwłocznie do Łodzi i odczytała list Zygmuntowi.

Nastąpił dramatyczny konflikt.

Pan Zygmunt nie był w prawdzie — jak twierdziła pani Janowa — „rozwodnikiem" (swoją drogą z tymi „rozwodnikami" to zatrzęsienie), gdyż formalnego rozwodu nie miał. Gdyby jednak podpisał „Volksliste", rozwód otrzymałby automatycznie. Ale pan Zygmunt podpisał „Volkslisty" nie mógł, gdyż był jeszcze w wieku poborowym i miast cieszyć się szczęściem małżeńskim z panią Wirską, poszedłby „czasowo do wojska".

Więc spełnić się musiało przeznaczenie.

— Jak wyjdę zamąż za kierownika zbiorni mleka — powiedziała wzruszona pani Wirska — nie będziemy z sobą, Zygmuncie więcej sprzyjać. Pan Zygmunt zniósł cios mężnie i odparł:

— Daję ci, Sylwio wolną rękę, życzę ci szczęścia i nie miej do mnie żalu. Z kolei pan Zygmunt, jako dżentelmen, chciał zapłacić za 8 jaj i pół kwarty masła, które otrzymał od pani Wirskiej, gdy wyjeżdżała ze wsi i które to produkty szczęśliwie przeszmuglował.

— Obrażasz mnie — rzekła z wyrzutem pani Wirska — ja pieniędzy mam dość, a ty i tak mało zarabiasz.

— Od Zygmunta poszła bezpośrednio pani Wirska do swej przyjaciółki Ani Gruber (mąż „czasowo w wojsku", którą nieraz zasilała mięsem baranim, indyczym itp.

Ania Gruber, po wysłuchaniu relacji dotyczącej dramatycznego konfliktu i po zapoznaniu się z treścią listu pretendenta do ręki przyjaciółki, wpadła w entuzjazm i serdecznie „Sylwuni" pogratulowała.

Pani Wirska nie miała zamiaru zawiadomić Herr Zdanowsky'ego, że wychodzi zamąż (chciała mu zrobić „kawał"), ale specjalnie nie prosiła przyjaciółki o dyskrecję.

To też zaraz po wyjściu pani Wirskiej, Ania Gruber zadzwoniła do Herr Zdanowsky'ego. Ten, po usłyszeniu nowiny, doznał prawdopodobnie chwilowego porażenia pewnych ośrodków mózgu, w każdym razie zachował się niepoczytalnie, jak wnioskować można było z ohydnego listu, wysłanego do pani Wirskiej.

List był jeszcze w drodze, kiedy pani Wirska, nucąc ulubioną piosenkę, w której „psy się uśpiły" i „pewnie mnie czeka mój Filon miły" raźno podążyła szosą pod las na decydujące spotkanie, o które ośmielił się prosić w liście kierownik zbiorni mleka.

Kierownik zaczął od wyłuszczenia swego poglądu na małżeństwo, które uważał za rzecz poważną, a nawet świętą.

To też prosił, ażeby pani Wirska, miast później łamać mu życie, namyślała się dobrze, nim powie „tak".

— Bo słyszałem dodał wstydliwie i nie dokończył...

Pani Wirska potraktowała sprawę szczerze otwarcie.

Przed poznaniem pana — rzekła — byłam wolna i niezależna, to też nie może pan mieć do mnie pretensji, ale zaręczam, że gdy powiem „tak", o zdradzie nigdy nie będzie mowy. A teraz muszę panu powiedzieć, że bardzo mi się pan podoba, jest pan zupełnie w moim guście, gdyż lubię tylko starszych, zrównoważonych mężczyzn, bo tylko tacy mogą dać kobiecie opiekę. I od tej już chwili zostaję pana narzeczoną.

Kierownik był bardzo wzruszony i pragnął, aby narzeczeństwo uczcić pocałunkiem.

Pani Wirska krępowała się, gdyż mógł kto zobaczyć. Ale narzeczony nie liczył się w tym wypadku z opinią, więc nastąpiła idylla.

Na tle pachnącej, szumiącej przyrody i w pełnym blasku słońca złączyły się ich usta.

— Ty wiesz, — wyszeptała wzruszona pani Wirska — że ja mam dopiero 44 lata, regularny okres i — mogę mieć jeszcze dzieci.

Te słowa napełniły zrozumiałą radością staruszka, bo do tej pory ojcem nie był. Więc cieszył się jak dziecko, że przyszła żona może zostać matką.

Trzymając dłoń narzeczonego w swojej, pani Wirska odprowadziła go daleko w stronę miasteczka, potem on znowu ją odprowadził i tak kilkakrotnie, aż załatwili sprawę kompromisowo i rozstali się pod lasem, w miejscu, gdzie nastąpił początek idylii.

Wracając do dworu, pani Wirska nie spodziewała się, jak bolesna czeka ją niespodzianka. Nadszedł bowiem list od Herr Zdanowsky'ego, który ośmielił się słowami najbardziej obelżywymi, najbardziej wulgarnymi naurągać kobiecie, wobec której „nie zasłużył"! Pani Wirska list ten pokazała z daleka, ale powiedziała, że nie odczyta go za nic w świecie (ja też nie nalegałem, bo zresztą nie miałbym śmiałości...)

Za to zapewniła mnie, że po przeczytaniu listu dostała kompletnego rozstroju nerwowego i całą noc płakała. Nazajutrz jednak odzyskała swą zwykłą energię i zatelefonowała do nadawcy listu.

— Panie Zdanowsky — zaczęła twardo po niemiecku — czy pan podtrzymuje te ohydne obelgi, jakimi pan mnie w liście obrzucił? Czy pan chce, żebym wyciągnęła z tego konsekwencje? Czy pan chce, żebym oddała pana w ręce policji? Czy pan chce, żeby mój narzeczony (który jest przyjacielem komendanta żandarmerii) pociągnął pana do odpowiedzialności?...

Pani Wirska nie wiedziała wprawdzie ale dałaby głowę, że Herr Zdanowsky przy telefonie zbladł. Po chwili też zaczął niezdarnie bełkotać po niemiecku:

— Nie podtrzymuję. Sylwuś, byłem — przyznaję — niepoczytalny, bardzo cię przepraszam, Sylwuś, bardzo... i proszę cię jeszcze, żebyśmy się ostatni raz spotkali u Ani Gruber, wtedy przeproszę cię osobiście...

— Dobrze, zgodziła się oschle pani Wirska — porozmawiam z panem, bo mamy jeszcze do uregulowania rachunki...

Gdy narzeczony przyjechał po południu, pani Wirska, nie chcąc go martwić, nie wspominała mu wcale o liście, i wszystkich przykrościach.

Ale kierownik zbiorni mleka, swymi ładnymi, błękitnymi oczyma (pani Wirska twierdziła, że oczy ma ładne i powiedziała mu to wprost), dojrzał na twarzy ukochanej smutek, który jednak wytłumaczył sobie tym, że każda kobieta przed decydującym krokiem, tj. przed zamążpójściem jest trochę smutna, w czym jest jej nawet trochę do twarzy. Pani Wirska nie wyprowadziła go z tego mniemania, czego nie powinniśmy jej mieć za złe, tym bardziej, że postarała się szybko stworzyć taki nastrój, aby narzeczony czuł się zupełnie szczęśliwym.

W tym celu poczęstowała go kunsztownie sporządzoną potrawą z kury, którą staruszek, mimo że nie miał w górnej szczęce zębów, (to był jedyny — zdaniem pani Wirskiej — drobny defekt przyszłego męża) zjadł bez trudu i nie mógł się dość nachwalić.

Z kolei dała mu pani Wirska do oglądania familijne fotografie. Ujrzał więc staruszek członków swej przyszłej rodziny, przedewszystkim syna pani Wirskiej, który choć z niechęcią (przez trzy lata nie chodził do szkoły i strasznie się rozleniwił) odbywał „służbę pracy" („Arbeitsdienst") i miał potem pójść do wojska. Następnie zobaczył staruszek wnuczka narzeczonej, którego przyszła pasierbica tuliła do łona (zrobiła się wcześniej „Volksdeutsche" niż matka, bo — „musiała" bo miała w Toruniu sklep galanteryjny) a obok stał zięć narzeczonej) okazał się bardzo dobrym mężem i ojcem, bo chociaż uważał za wystarczające, że tylko żona będzie „Volks." to jednak wezwany do podpisania „Volkslisty", uczynił to i szybko odjechał, aby walczyć w obronie rodziny i „europejskiej kultury").

Narzeczonemu tak się ta grupa z wnukiem podobała, że po raz drugi w swym życiu pocałował w usta babcię i z kolei namiętnie przytulił się do niej. Ale pani Wirska podzielała pogląd tych kobiet, które dopuszczają do „sprzyjania" wtedy tylko, kiedy są nie związane żadnym słowem, kiedy zaś są słowem związane, czyli znajdują się w stanie narzeczeńskim uważają, że nie powinno się psuć tych najmilszych w życiu kobiety i mężczyzny chwil, pełnych narozkoszniejszych, czarodziejskich perspektyw.

Narzeczony ocenił to stanowisko należycie.

— Za to cię więcej kocham — powiedział — i szanuję.

Ale żeby prędzej do czarodziejskich perspektyw się zbliżyć, postanowili narzeczeni dać za dwa dni na zapowiedzi, następnego dnia bowiem pani Wirska miała się spotkać z Herr Zdanowsky'm u Ani Gruber. Spotkanie to odbyło się bez żadnych przeszkód i można je uważać za zakończenie „ostatniego stadium", dlatego też — choć niechętnie — parę słów o nim powiem. W obecności Ani Gruber Herr Zdankowsky przeprosił raz jeszcze panią Wirską i zdobył się nawet na tyle szlachetności, że życzył jej szczęścia „na dalszej drodze życia", poza tym dał słowo honoru, że 1.225 marek zwróci w ciągu tygodnia. Chociaż słowa nie dotrzymał, pani Wirska postawiła na tym długu raz na zawsze krzyż.

— Od mężczyzn — powiedziała ze słuszną dumą — nigdy niczego nie potrzebowałam, najwyżej mogłam im jeszcze dać.

Konsekwentnie też postąpiła, gdy narzeczony chciał w formie prezentu ślubnego podarować jej złoty zegarek zmarłej żony.

— Nie — odparła — zegarka nie przyjmę, bo mam swój (chociaż obecnie jest w reperacji u zegarmistrza). Nie potrzebujesz też kupować mi innych rzeczy, bo mam wszystko, kompletnie wszystko, od bielizny pościelowej aż do kompletu sukien letnich, zimowych i futra. Jeśli masz— dodała — jakie suknie po nieboszczce, to odeślij je swej rodzinie, niech nie myślą, że wychodzę zamąż goła.. .. . .

— Za takie słowa — odparł przepełniony wzruszeniem narzeczony — coraz bardziej cię kocham i szanuję

Tak wyglądały, przedstawione tutaj w najbardziej zwięzłym skrócie wydarzenia dwóch tygodni.

Gdy wyjechałem ze wsi, i zajrzałem tam znowu po pewnym czasie, pani Wirskiej już nie zastałem. Zwolniła się z posady gospodyni i narazie wyjechała z mężem na 10 dni do swej córki do Torunia.

Pani Janowa, mimo że pani Wirska uregulowała z nią wszystkie rachunki czysto, jak również dotrzymała słowa i dała 10 kg mąki siostrze pani Janowej („za skuteczne swaty") mimo to powtarzam — pani Janowa wyraża się o byłej wspólniczce w taki sposób, jak w czasach dawnych gniewów.

Mówi np., że Wirska będzie męża zdradzała i że już nawet uczyniła odpowiednie propozycje panu Zygmuntowi, ale ten bał się, czego pani Janowa nie miała mu wcale za złe, bo gdyby się mąż pani Wirskiej dowiedział, oddałby „uwodziciela" w ręce policji i wtedy pan Zygmunt wisiałby bezapelacyjnie.

Nie traktuję tych słów poważnie, co najwyżej uważam, że jest w nich tyle prawdy, ile w każdej tendencyjnej propagandzie.

Jestem natomiast przekonany, że jeśli małżonek obecnej pani Sylwii Güttler ujawni, że posiada podstawowe zalety męża, to do zdrady nie dojdzie, tak jak nie doszło za czasów pierwszego męża, kiedy to przewodniczący koła P. C. K. sześćdziesięcioletni zaledwie mężczyzna, kochał się w pani Wirskiej na zabój.

Uważam też, że ta in statu nascendi pokazana i — ośmielam się twierdzić — zupełnie wykończona Wirskiej płaskorzeźba (a nie zarysy fragmentów, jakby może powiedział pewien były łódzki wiceprezydent, a powtórzył za nim piąty i dziesiąty śmiertelny), zasługuje nie na banalne komentarze, a na wnikliwszą analizę i subtelniejszą ocenę.

Czesław Garda

Niezałatwiona sprawa

„Płaskorzeźba pani Wirskiej" Czesława Gardy odsłania nam jedno z najboleśniejszych upokorzeń przez jakie przeszedł naród polski pod okupacją niemiecką. Dla nie dość przekonanych czytelników faktami przedstawionymi w powyższym opowiadaniu podajemy list **Edwarda Wrony** z Białej (poczta Maków Podhalański) w którym autor piętnuje tę część inteligencji, która splamiła się współpracą z okupantem:

„Inteligencja pracująca w administracji, zwłaszcza ta, która „pilnie" współpracowała z Niemcami jest najgorzej widziana na wsi. Sam miałem okazję poznać na własnej skórze charakter tej inteligencji. Są to ludzie, którzy całe życie dbają tylko o własny brzuch i służą każdemu za byle ochłap. I w dodatku są to tacy, którym nie było źle! Chłop zapamiętał sobie tych panów, różnego rodzaju agronomów, kierowników sklepów przydziałowych, kierowników spółdzielni, mleczarń, burmistrzów, sekretarzy. Z panami tymi rozprawimy się publicznie, sądownie, po imieniu i po nazwisku!

Cała machina wojenna największym swym ciężarem przewaliła się po plecach chłopów, chłopi wypełniali najcięższe prace w kamieniołomach, w lasach, na drogach, mostach, przy okopach. Nie było chłopa, któryby nie był uciskany ciężkimi represjami. Mimo piekielnych represji chłop znosił wszystko i DZIAŁAŁ KONSPIRACYJNIE I NIE ZDRADZAŁ! A inteligencja, a tamci, którzy byli przeznaczeni do świecenia i przewodniczenia w ciemnej nocy niewoli?"

Szukajmy, może znajdziemy niejedną panią Wirską na liście rehabilitującej.

JAROSŁAW JANOWSKI

ZDŁAWIONYM SZEPTEM

Tem strasznem bojowaniem
cokolwiek już znużeni
radzibyśmy odpocząć
na jakimś skrawku ziemi.

Czy jeszcze są na mapie
tak idylliczne kraje,
których nie pociął w sztuki
krwią zbryzgany rapier!?

Odległe lądy, morza
i puszcze nieobjęte
cofają się zdumione
przed wojennym tętentem.

Gdzie w niebo rosły miasta,
tętniące ludzkim gwarem —
tam dymią w pustce zgliszcza —
za jaką winę, kary?

Gdzie przedtem kwitły sady
tam gigantyczny walec
tratuje wszystko do cna
w upartym ciągłym szale.

Skrzydłami samolotów
rzucamy cień na niebie!
Ateny, Madryt, Dakar
tak blisko są od siebie...

Zacieśnia się pętlica
i coraz gęstsze kraty.
— Gdzie ujść? — Napróżno kluczyć
po domach i ulicach.

Ścigany bez wytchnienia,
ciągle zmieniając leże,
słania się, pada człowiek,
na śmierć zaszczute zwierzę.

r. 1942

Na nowy rok

Na progu nowego 1946 roku mamy do zanotowania sporo faktów, świadczących o stałej poprawie stosunków międzynarodowych. Konferencja moskiewska, zakończona w ostatnich dniach grudnia, wywołała odprężenie. Na konferencji ustalono procedurę zawierania traktatów pokojowych z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią, ustalono datę konferencji pokojowej, przez powołanie komisji dla spraw Dalekiego Wschodu wzmocniono na tym terenie współpracę Rosji Radzieckiej, Anglii i Ameryki. Wśród ważnych postanowień konferencji nie można pominąć utworzenia Sojuszniczej Rady Kontroli nad Japonią, wyjaśnienia stosunku wielkich mocarstw do Korei (pełna niepodległość po upływie pięcioletniego mandatu Stanów Zjednoczonych, ZSRR, W. Brytanii i Chin), stosunku do Rumunii i Bułgarii (powołanie w tych krajach do czynnego udziału w rządzie przedstawicieli partii demokratycznych, dotychczas stojących na uboczu życia politycznego). Wreszcie nie mniej ważną jest zapowiedź powołania przez Generalne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych specjalnej Komisji Kontroli nad energią atomową. Niewątpliwie jest jeszcze szereg spraw, dotychczas nie rozwiązanych. Wyniki konferencji moskiewskiej pozwalają jednak mieć silne przekonanie, że trzy mocarstwa kroczą zdecydowanie po drodze wzajemnego zaufania i zabezpieczenia trwałego pokoju.

A jednak...

W tych czasach wielkich przemian politycznych i społecznych uczucia narodu polskiego, narodu, który walkę o wolność swoją zawsze łączył z walką o wolność innych ludów, zwracają się ku dalekim republikom indonezyjskim, walczącym o niepodległość. I trzeba to śmiało powiedzieć, że po sposobie rozwiązania spraw indonezyjskich — można będzie osądzić szczerość państw — twórców Karty Atlantyckiej, zasady samostanowienia ludów itp. Nie jest pozbawiony pikanterii fakt, że państwa, głoszące niedawno świętą wojnę o wolność, teraz wysyłają dywizję za dywizją na uśmierzenie powstań Jawajczyków. Nikt inny, jak naród polski, mocno potępia wszelką politykę imperializmów, odosobnionych egoizmów państwowych. Nadchodzi era braterskiej współpracy kulturalnej i materialnej wszystkich narodów. Państwa, które nie nadążą za tymi przemianami i nie zrozumią w porę nowych czasów, muszą zginąć.

MATERIAŁY W REDAKCJI

Czesław Schabowski nadesłał fragment z powieści „Tama".

Stanisław Telega nadesłał fragment z powieści pt.: „Ósma rano".

Leon Pokora nadesłał fragment z dramatu pt. „Bóg się rodzi — moc truchleje".

Jalu Kurek nadesłał fragment z powieści pt.: „Janosik".

trzej KRÓLOWIE



Mylicie się czytelnicy, nie „Wieś" niosą — niosą jak przystało: myrrę kadzidło i złoto. *rys. St. Cieloch*

„Wieś" zagranicą i w kraju

CZECHY

Dziennik „Tešinské noviny", wychodzący w czeskim Cieszynie, zaniepokoił się poważnie działalnością „Wsi", czego wyrazem jest długa, ciągnąca się na przestrzeni trzech kolejnych numerów (116—119, z dn. 27, 28 i 30 listopada) rozprawa dr L. Dorazila p. t. „Jan Krokwia o Petru Bezručovi". Chodzi tu o drukowany w Nr Nr 16 i 17 „Wsi" artykuł Jana Krokwj „Prawda o Śląsku". Krokwia analizuje w nim twórczość szowinistycznego poety czeskiego, Bezrucza, który ostatnio mianowany został „czeskim poetą narodowym", co ze strony rządu czeskiego ma charakter demonstracji propagandowej. Bezrucz bowiem jest typem nacjonalistycznego pisarza, fałszującego rzeczywistość śląską, przez co dostarcza argumentu antypolskiej działalności czeskiej na Zaolziu. Niestety rozprawa dr Dorazila, mimo że tak obszerna, nie może być uważana za polemikę, bo wciąż zbacza z tematu, omijając zarzuty perfidji, stawiane przez Krokwię Bezruczowi i dokładnie udowodnione cytatami z jego twórczości. Dla uciechy naszych czytelników przytaczamy z oryginału parę zdań, tyczących opisu „Wsi" jako pisma wogóle: „V Lodži vycházi společensko-literární tydedník Ves-wies na pěkném, hladkém papíré s úhlednym tiskem, číslo stojí 5 zl. Dle dnešního kursu našich 8 Kčs. Prodává se i v Polském Těšíně. Číslo 16 ze dne 11 listopadu 1945 obsahuje 1 část článku Jana Krokwji s titulem „Pravda o Slezsku" a podtitulem „Petr Bezruč — symol básnického klamstva". Titul tištěn jest centimetrovymi pismenami, aby neušel pozornosti čtenářů". Niestety, podobnie jak czytając „Wieś" zauważył dr Dorazil li — tylko dobry papier i wyraźne czcionki w tytułach, równie niewiele spostrzegł — czy chciał spostrzec — w treści artykułu z którym polemizuje. Dr Dorazil mało nam więc „doraził".

A że wiadomości przez nas o Śląsku podawane są ścisłe, mamy i w tym dowód, że budzą one wśród nacjonalistów czeskich zdenerwowanie o wysokim napięciu. „Wieś" jest tępiona bardziej niż inne pisma, a radio Morawska Ostrawa gwałtownie nas napada.

MOSKWA I LONDYN

Moskiewski publicysta Zasławski w „Prawdzie" obszernie cytuje artykuł Z. Kałużyńskiego „O inną spółdzielczość" ,drukowany w N-r 12 „Wsi" z dnia 14 października 1945 r., uważając go za wyraz postępowych, reformistycznych tendencji w polskiej spółdzielczości; przytacza krytykę stanu obecnego Związku Samopomocy, jako dowód niezadowolenia z jego funkcji społecznej. Nasz artykuł o spółdzielczości przeszedł osobliwe koleje; przytoczyło go pismo wychodzące po polsku w Palestynie, w Tel-Avivie, ale — jako przedruk z „Prawdy"; „Wieś" bowiem tam jeszcze nie dociera...

Sympatyczny dowód życzliwości przesłał nam za pośrednictwem znajomych znany pisarz chłopski, Stanisław Młodożeniec, przebywający w Londynie. Wielu dawnych swoich współpracowników, poetów chłopów, odnalazł na kartach „Wsi", i skorzystał ze sposobności by przekazać im z wyspy wyrazy uznania.

KATOLICKI „TYGODNIK POWSZECHNY"

W Nr 39-ym „Tygodnika Powszechnego" Zofia Starowieyska-Morstinowa pisze obszernie o „Wsi". „Gdyby chcieć jednym słowem określić tygodnik „Wieś", możnaby to uczynić słowem „żywość". Nawet tzw. żywe pisma miewają zakamarki nudy, w których omawia się z obowiązku sprawy mniej zajmujące. We „Wsi" niema takich zakamarków". „Sympatyczna przede wszystkim jest pozytywna strona pisma, które nie wyżywa się jedynie w walkach i polemikach (jak to się zdarza innym tygodnikom), ale wysuwa pozycje realne i konstruktywne. „Wieś" chce budować i buduje kulturę wsi, zajmuje się jej przyszłością, jej sztuką, jej piśmiennictwem. Trzeba przyznać, że temat jest pasjonujący, a jego różnorodne i wszechstronne naświetlenie w piśmie ciekawe, sięgające do zagadnień istotnych, poczynając od zapytania napozór najprostszego: kto jest chłopem? Za tym idzie szereg innych: kto czyta „Wieś", czy literatura chłopska ma być pisana gwarą, itd. Jakżeż słusznie występuje Jalu Kurek przeciwko konserwowaniu sztucznej ludowości naszej wsi, jakżeż słusznie występuje J. A. Król przeciwko piśmiennictwu tzw. ludowemu, które pisze dla chłopa językiem infantylnym". „Obok wszechstronnego omawiania spraw, złączonych z zagadnieniami wsi, obok informacji i wiadomości, polemik i dyskusji drukuje „Wieś" sporo utworów pisarzy chłopskich. Są one często na wysokim poziomie, zwłaszcza wiele wierszy uderza świeżością i siłą". Autorka kończy: „Choć niewątpliwie wolelibyśmy spotykać na łamach „Wsi" nuty ideologicznie bardziej zbliżone do naszego katolickiego światopoglądu, choć wolelibyśmy, aby działacze pracujący z taką gorliwością dla dobra wsi, przy odrzucaniu wielu tradycji, nie odrzucali u tej budującej się kultury pierwiastka tak głęboko wrośniętego, jakim jest katolicyzm, jednak pismo to należy uznać za pozycję nie tylko zajmującą, ale i z wielu względów dodatnią".

Przyznajemy szczerze, że nie spodziewaliśmy się ze strony „Tygodnika Powszechnego" nieraz przez nas atakowanego, takiej życzliwości. Jaskrawo się od niej odcina niechęć literatów, tępiących konkurencję „wiejską", a skupionych po lewej stronie, której wszak nie myśleliśmy zaczepiać.

PISMA PSL O „WSI"

Organ PSL „Chłopski Sztandar", dwukrotnie zajmuje się działalnością „Wsi" i Oddziału Wiejskiego ZZLP, w dużych artykułach: St. Dzikowskiego „Pisarze chłopscy (Nr 7) i W. Wilbik „Kultura chłopska czy proletariacka" (Nr 11). Obydwaj autorowie pozytywnie naogół oceniają stronę literacką „Wsi". Dzikowski pisze: „Nie brak tu poezji raczej dobrej, szczerej i pozbawione nieznośnych sztuczek intelektualnych, nie uprawiającej uganiania się za wynalazkami formalnymi, które nużą czytelnika. Wiersze przemawiają w sposób oryginalny, językiem soczystym, czasem nawet gwarą doskonale zastosowaną (Kubisz)!". Zarzuca Dzikowski „Wsi" rozmyślne pomijanie spraw folkloru i etnografii polskiej, wreszcie wysuwa główny zarzut o charakterze politycznym: „Ideologia „Wsi" wydaje się czasami dziwnie niepewna i mętna. Wiele można wyczytać między wierszami, kiedy usiłuje się usprawiedliwić dażenie do odrębnej kultury ludowej, co jest karcone przez ludzi, zdawałoby się, kierownictwu „Wsi" bardzo bliskich. Wydaje się czasami jakby redaktorzy „Wsi" starali się uspokoić swoich przyjaciół politycznych, że prędzej czy później ich program zostanie zrealizowany, może nie wszędzie, ale przynajmniej... na łamach „Wsi". Nie wiadomo tylko jak się zachowają wówczas wybitniejsi pisarze chłopscy, którzy z taką ufnością nadsyłają utwory do redakcji tego tygodnika".

Podobnie motyw polityczny góruje w oświetleniu sprawy przez W. Wilbik. Autorka zwraca uwagę na niechętny stosunek pisarzy „skupiających się wokoło Kruczkowskiego, Boguszewskiej, Ważyka czy Putramenta" — do literatów chłopskich. „W czasie gdy wieś grupująca się pod sztandarami PSL zdecydowanie prze do zajęcia odpowiedniego miejsca w państwie, pisarze ludowi jako awangarda Ruchu, nie mogą chodzić rozproszeni, gubiąc się po obcych manowcach". „Gdy został utworzony Oddział Pisarzy Wiejskich, gdy przekształcono czasopismo „Wieś" na tygodnik społeczno-literacki, w czasie tym nie doszło do połączenia „grupy lubelskiej" z właściwym trzonem organizacyjnym wsi. PSL grupując dużą część chłopską wyszło na widownię polityczną, tworząc osobne stronnictwo. I oto wytworzył się stan pełen sprzeczności i niejasności. „Wieś", wywodząc swój rodowód z Lublina, doceniając interesy pisarzy chłopskich, dążąca do utworzenia zespołu, zmuszona jest lawirować między obydwoma stronami, zdecydowanie nie chcąc się narazić swoim przyjaciołom i protektorom".

Nie wiemy gdzie autorka dostrzegła tych „przyjaciół i protektorów", bo jak dotąd, zarówno jedna jak i druga strona okazuje nam wyraźne niezadowolenie, może nawet większe jest ono po lewicy. Oczywiście wiele jest w tym literackiej konkurencji, ale więcej — motywu politycznego. Jedni i drudzy pragnęliby ujrzeć „Wieś" po swojej stronie barykady, nie chcąc pojąć, że sens istnienia naszego pisma polega właśnie na apolitycznej robocie kulturalnej; pełne jej zrozumienie wykazał Prezydent Bierut, który powiedział do pisarzy chłopskich w dniu 29. XI.: „Grupa pisarzy chłopskich często atakowana jest z prawa i lewa za niedość wyraźne zdecydowanie się co do linii politycznej swojej działalności. Mimo to działalność takiej grupy nie może być związana z działalnością jakiejś partii. Pracować na rzecz podniesienia szerokich mas ludowych można w wielu różnorakich formach. Zbliżanie rzesz chłopskich do sztuki, kultury i wiedzy — przeprowadzane w szczerych intencjach służenia istotnym interesom ludowym będzie jedną z takich form".

O sztuce stawania na głowie

Brak orientacji w sprawach pisarstwa ludowego, w połączeniu z niechęcią do „Wsi", spłatał „Kuźnicy" pociesznego figla. Nr 11 tego postępowego pisma przynosi bowiem... pochwałę artykułu wyrażającego wsteczne tendencje kulturalne — i jednocześnie potępienie artykułu stwierdzającego tendencje postępowe w nowej cywilizacji wiejskiej. Sprawozdawcę „Kuźnicy" zmyliło zapewne, że punkt widzenia postępu reprezentował tym razem „Sztandar Chłopski", który jest organem PSL; czasem się i tak zdarza! Autor artykułu, St. Dzikowski, ubolewa coprawda nad zanikiem zainteresowania dla specyficznej problematyki ludowej, ale stwierdza, że „zanikanie dawnej kultury ludowej jest objawem naturalnym", „czułostkowe biadolenie z powodu zjawisk, których odwrócić nie podobna, nikomu nie jest potrzebne". Te przypadkowo na łamach „Sztandaru" zamieszczone poglądy, przyjęte zostały kwaśno przez „Kuźnicę", jakkolwiek wyrażają niewątpliwie nowoczesny punkt widzenia.

Nie można tego natomiast powiedzieć o artykule p. Przybosia w „Odrodzeniu", godnego zaiste jakiego ultrakatolickiego organu. Zgodnie ze swoją taktyką tępienia konkurencji o ambicjach literackich (por. ostatnio ataki na „Odrę", ubolewania nad szkodliwym rzekomo rozkwitem prasy w Polsce) „Odrodzenie" zawzięcie likwiduje „Wieś", wynajdując przytem najosobliwsze i najsprzeczniejsze argumenty. Niedawno stwierdziło „Odrodzenie", że Oddział Wiejski jest dywersją polityczną (art. „Parcelacja czy komasacja"), — coprawda ob. Bierut w oficjalnie ogłoszonym komunikacie na temat pisarzy ludowych był innego zdania, ale ktoby się tym przejmował... Obecne argumenty są z innej, najmniej w „Odrodzeniu" spodziewanej beczki: „Wieś" podrzuca chłopu „kukułcze jaja stylizowane na pisanki", ma „fałszywą ambicję robienia literatury drugiej klasy", wypowiada się w niej nie wieś, a „grupka pisarzy", więc „Wieś" nie spełnia przyrodzonej sobie roli" itd. — a dlaczego? bo „Wieś" nie drukuje chłopskich pamiętników, twórczości samorodnej, spontanicznej, automatycznej, masowej, która jest lepsza niż „kukułcze jaja" chłopów inteligentnych, bo „lud polski jest niezwykle zdolny", bo chłop polski nieuczony lepszym jest poetą, niż wszyscy zarażeni intelektualizmem pisarze „Wsi", itd., itd.

Domyślamy się dlaczego bonza polskiej liryki zachęca nas do popierania żywiołowej grafomanii, którąby wyrafinowany czytelnik mógł się bawić, jak poezją Zulusów. P. Przyboś uważa, że mniej będzie groźne dla niego, gdy będziemy robić literaturę trzeciej klasy zamiast „drugiej klasy". Ale dlaczego ten uderzająco wsteczny punkt widzenia obudził na łamach postępowej „Kuźnicy" tak niezwykłą uciechę, że określono go jako „wypełniający bez reszty lukę w dyskusji na temat pisarstwa ludowego?" **I to wiemy! I to wiemy!** Bo z tych dwojga rozwiązań: by „Wieś" popierała drugorzędną twórczość, albo trzeciorzędną, — nasi przyjaciele zarówno z „Kuźnicy", jak z „Odrodzenia", wybierają rozwiązanie... jeszcze inne: **by „Wieś" wogóle przestała wychodzić.**

Na szczęście jest paru obywateli, życzliwie dla pisma nastawionych; jeden przyjął nas w Warszawie w dn. 29 listopada. Gdy skarżyliśmy się przed Nim na niedorzeczne nastawienie prasy lewicowej, powiedział z uśmiechem: „A wy się nie bójcie, i róbcie dalej swoje". Był to niejaki p. Bierut, Prezydent Krajowej Rady Narodowej.

j. sz.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

D—06531 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.